№ 27. Warszawa, dnia 4 Lipca (22 Czerwca) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Nowi abonenci **Prawdy** nabyć mogą wydane dotąd cztery zeszyty **Ekonomii politycznej** za rs. 1 k. 50, na żądanie zaś, otrzymają bezpłatnie dwa ostatnie numery z zeszłego kwartału, zawierające początek dramatu **Aspazya**.

Cztery tomy **Głównych prądów literatury XIX-go wieku** Brandesa zostały uzupełnione i rozesłane abonentom. Ponieważ wszakże tomu czwartego dla niektórych przedpłacicieli nam zbrakło, prosimy więc ich jeszcze o kilka tygodni cierpliwości dla nowego skompletowania. Tomy: I, II i III w osobnej sprzedaży kosztują po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2; całe dzieło, którego cenę zniżoną rs. 4 (z przesyłką pocztową rs. 4 k. 50) pozostawiamy jeszcze, po skończeniu abonamentu kosztować będzie rs. 6, z przesyłką rs. 6 k. 50. Nadmieniamy, że zniżona cena nasza jest **cztery razy mniejszą**, niż wydania niemieckiego.

APOSTOŁOWIE KŁAMSTWA.

Rzecz zaiste wielce dziwna, że antisemityzm, który rozpostarł się tak szeroko, który rozpalił tyle namiętności i zdurzył bardzo poważne głowy, wszędzie posiada uderzająco lichych umysłowo lub moralnie przewodników. Są to bowiem zwykle albo sfanatyzowani głupcy, albo rybacy mętnych wód, albo skandaliści najgorszego gatunku, albo ludzie, dla których szczucie żydów stało się jedyną drogą zyskania rozgłosu. Stąd też chyba żaden ruch nie zrodził równej masy niedorzeczności, skażonych sądów i maniactw. Inaczej być nie może. Wystawmy sobie człowieka z pustą głową i złymi instynktami, nieokrzesanego prostaka, opanowanego pragnieniem wypłynięcia na wierzch i spadającego ciągle na dno życia — co taki osobnik zdoła wydobyć z siebie na pokaz publiczny? Nic, procz haseł drażniących i zrozumiałych dla ciemnego tłumu. Ponieważ zaś rzeczywistość nie dostarcza materyału do ciągłych podszczuwań, więc trzeba go tworzyć i przerwy łatać zmyśleniami. Stąd płynie owa świadoma i bezwiedna maligna antisemityzmu, która ukazuje po za wszystkiem i wszędzie ukrytych żydów, która szuka ich tam, gdzie nigdy nie byli, i oskarża ich o to, czego zrobić nie mogli, która wreszcie cały świat pomału zamienia w królestwo Izraela a w każdym nienależącym do bandy dostrzega żydowskie trychiny. Ruch takiemi siłami i w takim kierunku prowadzony musiał koniecznie za swą broń przyjąć kłamstwo. Istotnie, jest ono naczelnem jego znamieniem i główną plamą, tak dalece, że nawet nienawiść do żydów jest mniej wspólnym mianownikiem antisemitów, niż skłonność a czasem zasada kłamania. Zmyślić jakiś fakt, przytoczyć niewiernie cudze wyrazy, przestawić daty, sfałszować statystykę — to są powszednie, zwykłe, najbezczelniej popełniane grzechy komendantów antisemityzmu.

Niedoścignionym ideałem łgarza w tej rzeszy a jednocześnie naczelnym jej wodzem jest w Niemczech nadworny kaznodzieja pastor Stöcker. Przydomek ten mocniej przywarł do jego nazwiska niż inne tytuły. Cokolwiek „Hofprediger" napisze, ile razy odezwie się w sejmie lub zgromadzeniu obywatelskiem, zawsze mu potem przeciwnicy dowiodą, że nakłamał. Każde takie „sprostowanie" pojedynczo strawić można, ale wszystkie razem — trudno. Skoro tedy redaktor *Freie Zeitung* zsypał owe trociny w jeden kosz i posolił je należycie, Stöcker wytoczył mu proces. Kodeks niemiecki pozwala udowadniać łgarzowi kłamstwa, ale nie pozwala nazywać go publicznie łgarzem i pomimo dowodów „zniewagę" karze. I owego redaktora więc skazano na kilkutygodniowy areszt, ale Stöcker wyszedł ze sprawy tak zbrukany, że prezes sądu, odczytując wyrok, ustawicznie się mylił i zamiast: „świadkiem" nazywał go „oskarżonym." Bo okazało się: 1) że Stöcker we wszystkich wskazanych przez *Freie Zeitung* wypadkach rzeczywiście skłamał; 2) że do swojej „chrześciańsko-socyalnej" roboty używał przestępców kryminalnych, wielokrotnie karanych; 3) że do walki przeciw żydom posługiwał się pomocą — żydów; 4) że powierzony mu przez cesarzowę fundusz dobroczynny przeznaczył na cele swej agitacyi; 5) że w widokach osobistych dyskredytował kolegów i współwyznawców; 6) nakoniec, że *w sądzie fałszywie przysiągł.* Fakt ten, przyznany przez prokuratora i wyraźnie stwierdzony w wyroku, znamionuje nietylko moralną wartość „apostoła prawdy i miłości bliźniego," ale także rzuca jaskrawe światło na stosunki niemieckie, a zwłaszcza na godność niemieckiego konserwatyzmu. Po skończeniu się bowiem procesu, prasa w znacznej części bądź wydała okrzyk zgrozy i szyderstwa, bądź wyznała z przykrością, że nadworny kaznodzieja stał się „politycznie niemożliwym" i że konserwatyści, strzegący swej czystości honorowej, niezawodnie go ze swych szeregów wyrzucą. Tymczasem dwa główne ich organa ogłosiły, że będą nadal „szczycić się" Stöckerem, że całą sprawę uważają za intrygę, a krzywoprzysięstwo za niedowiedzione. Czy jest to odbicio przekonań partyi zachowawczej w parlamencie — dotąd nie wiadomo; w każdym razie mamy pouczający objaw

zgnilizny i bezwrażliwości moralnej konserwatyzmu niemieckiego i pielęgnowanego w nim antisemityzmu.

Czy można wobec tego dziwić się, że ów antisemityzm, pokrywający płaszczem chwały krzywoprzysięzcę i patentowanego łgarza, w oczach ludzi rzetelnych i uczciwych traci poważne i moralne znaczenie? że od niego odwraca się ze wzgardą każdy czysty żywioł, który ani takim orężem, ani pod przewodnictwem takich ludzi walczyć nie chce? że wreszcie ruch ten, który mógłby przynieść społeczeństwu pewne korzyści, przynosi mu tylko szkody lub skandale? Mówimy: pewne korzyści, gdyż nie ulega wątpliwości, że żydzi, jako potęga pieniężna, przyjmują udział w tym wyzysku pracy, w tej uprawnionej grabieży, w tem samolubstwie, nadużyciach i niesprawiedliwościach ekonomicznych, których dopuszcza się cały, bez różnicy wyznania, kapitalizm. Poważna tedy, gruntowna, na prawdzie faktycznej oparta krytyka ich działań, jak wszelka krytyka, byłaby bardzo pożądaną. Ale ona w antisemityzmie zupełnie znika, ustępując miejsca fanatyzmowi, podpalaniu namiętności religijnych i rasowych, obelgom, pruciu pierzyn i mętnej spekulacyi. Takie roboty mogą zbogacić słownik wymysłów, poprowadzić do rozbojów, namnożyć krzywd i nienawiści, otworzyć ujście złym instynktom, ale nie mogą narodu oświecić, a tem mniej go uszczęśliwić. Dowodem właśnie wieloletnia działalność Stöckera, który w plonie jej zbiera: sympatyę garstki a odrazę lub szyderstwa ogółu, bo siał kłamstwa.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, czerwiec.

Ogólna dążność do reform socyalno-politycznych. — Nowa era. — Reakcya ekonomiczna. — Rzekome polepszenie bytu robotników. — Kto za to płaci? — Bezrobocie i zaburzenia w Bernie. — Zadanie nowego parlamentu. — Jednostronność ekonomiczna lewicy. — „Bierna“ Galicya i jej upośledzenie ekonomiczne. — Jedność niemieckiej opozycyi. — Z wiedeńskiej akademii umiejętności.

Jednem z charakterystycznych znamion czasu jest niezawodnie dążność wszystkich większych stronnictw do reform socyalno-politycznych. Jest to o tyle ważnem, nawet wobec wielu chybionych prób w tym kierunku, że objaw ogólny stanowi rodzaj uznania przez czynniki posiadające władzę, iż obecny ustrój i porządek polityczny, społeczny i ekonomiczny potrzebuje koniecznie naprawy, ze względu na mnożące i potęgujące się niezadowolenie ludu roboczego i jego coraz większy upadek materyalny. Dążność ta, która szczególnie w Niemczech znalazła potężnego orędownika, musiała się naturalnie udzielić i Austryi, gdzie do niedawna nie rozumiano wcale największej kwestyi stulecia. Komuż bowiem nie tkwią w pamięci słowa austryackiego męża stanu, ministra i wielkiego przewódcy stronnictwa niemiecko-liberalnego, dr. Giskry, który przed kilkunastu laty wyrzekł w wiedeńskim parlamencie, że „sprawa socyalna kończy się w Bodenbach!“ Rzeczywiście, przez długi szereg lat nie istniała ona wcale dla tej partyi, chociaż groźnie kołatała kilka razy do bram parlamentu. Uprzywilejowane stronnictwo niemieckie miało jednak zawsze uszy bawełną zatkane, i dopiero wówczas usłyszało głos ludowego Mnemona, kiedy się ujrzało powalonem na ziemię, na co pracujący lud niemiecki patrzył z szyderczem zadowoleniem. Kiedy po niem spuściznę rządów objęły sprzymierzone żywioły prawicy, ujrzały potrzebę wstąpienia na drogę socyalno-politycznych reform, w czem ze strony gabinetu doznały poparcia. Konserwatyści w swój sposób wzięli się do— łatania wielkiej kwestyi, zacząwszy od zmian w dziedzinie ustawodawstwa rękodzielniczo-przemysłowego, co, przy uroczystych pogróżkach przeciwko wyzyskowi kapitalizmu, zakończyło się ograniczeniem swobody zarobkowania, „wykazem uzdolnienia,“ innemi słowy—powrotem do średniowiecznego ustroju cechów rzemieślniczych z wszelkiemi przymusowemi stowarzyszeniami zawodowemi. Środek ten, który rzekomo miał podźwignąć z upadku mały przemysł rękodzielniczy, właściwie na nic się nie przydał majstrom, ponieważ przyczyna ich upadku materyalnego leży zupełnie gdzie indziej, aniżeli w wolności zarobkowania—i tylko wzbudził niezadowolenie pomiędzy robotnikami, którzy słusznie ujrzeli w „wykazie uzdolnienia“ i wielu innych przepisach nowej ustawy przemysłowej dotkliwe dla siebie szkody. Reformatorowie prawicy, pomiędzy którymi klerykalni książę Alojzy Liechtenstein i Zallinger grali rolę bohaterów, nie poprzestali na wawrzynach „wykazu uzdolnienia“ i przywrócenia cechów, ale pokusili się także o uszczęśliwienie robotników po swojemu, w czem rząd był im wielce pomocnym. Naprzód zaprowadzono stan wyjątkowy we Wiedniu i kilku powiatach okolicznych, co znaczy, że zawieszono na nieograniczony czas wszystkie swobody konstytucyjne i dozwolono gospodarować policyi z pracującym ludem, jak jej się podoba. Tymczasem wniesiono ze strony rządu do izby poselskiej projekt ustawy zabezpieczenia robotników od uszkodzenia (*Unfallsversicherungsgesetz*), którego jednakże Izba dotychczas jeszcze nie załatwiła. Natomiast uchwalono normalny dzień roboczy—jedenastogodzinny i— święcenie niedzieli, zapominając jednak przy dniu normalnym o rzeczy najważniejszej, o oznaczeniu minimalnej płacy, bez czego on nietylko w niczem nie ulepsza bytu robotnika, lecz owszem przynosi mu tylko szkodę, tak samo jak święcenie przymusowe niedzieli. Ustanawianie wysokości zapłaty pozostawiono uznaniu fabrykantów, przez co ów dzień normalny stał się prawem, gdyż przemysłowcy wszędzie tam, gdzie pracowano dłużej, aniżeli godzin jedenaście, zmniejszyli stosunkowo płacę, a nowa ustawa pozbawiła nadto robotników nadzwyczajnego zarobku w godzinach nadliczbowych, oraz w niedziele i święta. Tym sposobem ci ostatni ponieśli koszta rzekomego dobrodziejstwa. Kto zna nędzny zarobek w wielu gałęziach przemysłu, wynoszący w niektórych okolicach (np. w północnych Czechach), wedle urzędowych wykazów inspektorów fabrycznych, nawet jeden gulden czterdzieści centów (!) tygodniowo, i kto wie, że takim dochodem trzeba często karmić a raczej głodzić liczną rodzinę, ten pojmie, że każdy poboczny,

---

3)

ASPAZYA

DRAMAT W 5 AKTACH

ALEKSANDRA ŚWIĘTOCHOWSKIEGO.

(Wł. Okońskiego).

SCENA 9.

Perykles, Anaksagoras, Fidyasz, Protagoras i Sofokles.

Perykles.

Jak się macie przyjaciele! I Protagoras z wami! (*wchodzi Sofokles*) Dobry wieczór, kochany Sofoklesie.

Sofokles.

Na mieście mówią, że jakiś napad urządziła tu Elpinika, że sprowadziła pijany tłum z nożami...

Perykles.

Drobna burda! Ale widzę, że zrobiłem dobrze, zostawiając was w Atenach. Spodziewałem się rozruchów, bo przejąłem zdradzieckie listy dwu możnowładców ateńskich do wodza spartańskiego, któremu na wypadek naszej porażki ofiarowali swą pomoc. Po pierwszem zachwianiu się naszych szeregów, zaczęli pierzchać synkowie arystokratów i ponieśli zapewne swym ojcom radosną wieść o zwycięstwie spartan.

Anaksagoras.

Ciężką nam była niepewność...

Sofokles.

Miasto napełniał syk wężów.

Fidyasz.

Ale jakże zakończyła się bitwa?

Perykles.

Spotkaliśmy spartan w dwakroć przewyższającej nas liczbie. Spostrzegłszy swoją przewagę, uderzyli natychmiast i przełamali w kilku miejscach nasze kolumny. Była chwila popłochu, w której straciłem wszelką nadzieję, zwłaszcza gdy tesalczycy oderwali się i przeszli do nieprzyjaciela. Zdołałem wszakże związać odcięte roty i powstrzymać natarcie. Spartanie ponowili atak jeszcze gwałtowniej — ale odrzuciliśmy ich do szańców. Sześć razy usiłowali rozbić ścianę naszego wojska — i zawsze musieli się cofnąć. Nareszcie, widząc bezskuteczność wysiłków i obawiając się, ażebyśmy nie ściągnęli pomocy, zaproponowali zawieszenie broni, zobowiązawszy się opuścić Attykę pod warunkiem, że im otworzymy swobodny odwrót. Zgodziłem się i przyjechałem dla wysłuchania woli narodu. Będę układ popierał, bo pragnę pozbyć się naprzód niebezpiecznego wroga, a potem... potem zacznę wyławiać i tępić te sprzymierzone z nim krokodyle, które pożerają lud i obłudnie płaczą nad jego niedolą. Ja ten lud nauczę dochodzić swych praw i złożę ofiarę zemsty na grobie Efialtesa! Chyba śmierć ostrzegła go o swem przyjściu, bo odchodząc na spoczynek, powiedział do mnie: jeśli zginę, broń skrzywdzonych beze mnie, jak broniłeś ze mną. Niestety, jego mordercy nie wykryłem. Ziemia nie wstrząsa się, gdy taki zbrodniarz po niej stąpa! Powinienem był naprzód archontom i areopagowi zdać sprawę z bitwy i przedstawić traktat, ale ponieważ wiem, ile w tych dostojnych ciałach tkwi dusz samolubnych i spartanom zaprzedanych, ominę je, zwrócę się bezpośrednio do narodu i tym sposobem wymierzę nowy cios w spruchniałą budowę areopagu, którą Efialtes burzyć zaczął.

Sofokles.

Gdzie jego zwłoki?

Perykles.

Żołnierze wiozą za mną a ja je wystawię na widok publiczny i pokażę naocznie ludowi, jak giną jego obrońcy. Chodźmy... Dzisiejszej nocy jeszcze muszę wrócić do obozu.

Kobieta (*wysuwając się z za kolumny*).

Peryklesie...

Anaksagoras (*powstrzymując ją*).

Nie zdradzaj się...

nadzwyczajny zarobek, w godziny nadliczbowe i w niedziele lub święta stanowi dla nędzarza kwestyę żywotną. Nowe reformy socyalno-polityczne znoszą go z krzywdą ludu pracującego. Z tej przyczyny wytworzył się pomiędzy robotnikami nowy ruch, który usiłuje odzyskać poniesione straty za pomocą uzyskania odpowiedniej podwyżki płacy.

Takie właśnie źródło miały świeże wypadki w fabrycznem mieście Bernie, gdzie przyszło nawet do starć i zaburzeń krwawych. Zbuntowani robotnicy, zażądali podwyższenia płacy, zmuszeni do tego dniem normalnym dziwacznego rodzaju i święceniem niedzieli. Zdaje nam się, że rozruchy te, w których ostatecznie zwyciężyli robotnicy, gdyż fabrykanci przystali po dłuższem wahaniu się, częściowo na ich wymagania, nie należy uważać za objaw odosobniony, lecz raczej za początek ruchu, dążącego do wyrównania strat, zrządzonych przez „reformy.“

Przyszły parlament stanie przed bardzo ważnem zadaniem, naprawy złego i przed koniecznością zaprowadzenia takich zmian, któreby rzeczywiście mogły podźwignąć przemysł i rękodzieła z upadku a zarazem polepszyć byt materyalny pracującego ludu. Ale jeśli kto szczerze zechce podjąć się dzieła wyczyszczenia tej stajni Augiasza, musi zacząć od reformy podatków, obniżenia taryf przewozowych na drogach żelaznych, usunięcia zgnilizny w zakładach pieniężnych, słowem od przekształceń systematycznych, zasadniczych, głęboko sięgających, a skończyć na dniu normalnym ze sprawiedliwem oznaczeniem minimum płacy, na polepszeniu stosunków zdrowotnych, na urządzaniu domów przytułku dla niezdolnych i ubezpieczeniu kalek. Ale do tego trzeba zupełnie innych ludzi, jak Alojzy Liechtenstein wraz z p. Zallingerem, ludzi z wiedzą, z poczuciem sprawiedliwości i z znajomością rzeczy.

Jednostronność ekonomiczna lewicy jest ostatecznie w Austryi najgłówniejszą przyczyną wszelkiego zastoju wytwórczości przemysłowej i wogóle ekonomicznej. Jak to pseudo-liberalne stronnictwo broniło wobec mas roboczych wyłącznie interesów kapitalizmu, tak samo znowu prowadziło wyzysk na wielką skalę krajów słowiańskich na rzecz uprzywilejowanych niemieckich. Widzieliśmy bowiem, że pierwsze, zwłaszcza zaś Galicya, były systematycznie wysysane z soków najżywotniejszych, że rządzące stronnictwo niczem nie polepszyło tam stosunków ekonomicznych, a tem samem nawet dla państwa nie podniosło siły podatkowej. Prawdziwym kopciuszkiem jest w tym kierunku Galicya do dziś, pomimo że, jak się historycznie wyraziła *N. F. Presse*, „wpływ polski sięga obecnie od Karpat do Adryatyku.“ Galicyę zbywa się frazesem, że jest „finansowo bierną,“ co ma znaczyć, że ze skarbu państwa więcej bierze, aniżeli mu daje—naturalnie według obliczenia na podstawie płaconych podatków. Z powodu swej rzekomej bierności otrzymuje ona od państwa zawsze tylko „jałmużny,“ a w zamian dostarcza mu najliczniejszych i najlepszych rekrutów! Tymczasem rzecz ma się w istocie zupełnie inaczej. Galicya jest w państwie austryackiem krajem najbardziej rolniczym, nie mającym prawie żadnego przemysłu. Z tego wynika, że stanowi ze swoją przeszło sześciomilionową ludnością wielką dziedzinę zbytu dla całego przemysłu austryackiego—od ćwieków żelaznych aż do maszyn parowych, od płótna na koszule do delikatnych koronek, od drelichu do atłasu i materyj jedwabnych, od wyrobów galanteryjnych—do świec i mydła. Cła ochraniające przemysł austryacki nakładają haracz na tę konsumentkę, a jednocześnie przynoszą producentom krajom niemieckim nie małą korzyść. Jeżeli więc przypuścimy, że w Galicyi konsumcya obcych wyrobów przemysłowych wynosi rocznie na głowę tylko 15 guldenów, co bynajmniej nie jest wysoko obliczonem, to otrzymamy przeszło 90 milionów, w której to sumie mieści się co najmniej 10% rozmaitych pośrednich podatków i przynajmniej tyleż zysku produkcyjnego.

Potrąćmy o politykę. W Wiedniu odbyła się wielka narada lewicy. O mało nie przyszło do rozdziału pomiędzy niemieckimi liberałami a narodowcami. Starsi jednak zdołali tymczasowo załatać jedność, a to w ten sposób, że odroczono wszelkie rozstrzygnięcie i właściwie nic nie uchwalono. Jedność owa trwa pozornie mówiąc stylem urzędowym—*bis auf Weiteres*, t. j. do czasu, kiedy wybrany komitet zda sprawę z poruczonego mu połączenia programu liberalistów z programem narodowców i wynajdzie—a o to głównie chodziło—odpowiednie miano dla klubu lewicy. Ale jak wybrnąć z kłopotu? Narodowcy niemieccy oświadczyli, że pod żadnym warunkiem nie odstąpią od nazwy „klub niemiecki,“ podczas kiedy odłam konserwatywny znowu nie mniej stanowczo oznajmił, że do „klubu niemieckiego“ nie wejdzie. Jakimże więc cudem ma komitet utrzymać jedność? Możebnem jest tylko, że lewica pozostanie albo bez lewego, albo bez prawego skrzydła, a zawsze będzie tylko jednoskrzydlną.

Na ostatniem posiedzeniu matematyczno-przyrodniczej sekcyi tutejszej Akademii umiejętności sekretarz jej dr. Stefan przedstawił cały szereg zajmujących prac, pomiędzy któremi znajdujemy dwie rozprawy polskich uczonych, mianowicie: profesora Zygmunta Wróblewskiego z Krakowa zatytułowana: „O elektrycznej sile odpornej miedzi przy najniższych stopnia zimna,“ i profesora K. Olszewskiego o jego próbach używania wrzących gazów, oraz powietrza atmosferycznego jako środka ziębienia.

S.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 czerwca.

Koniec pory wiosennej. — Paryż w lecie. — Przyjęcie do Akademii Wiktora Duruy. — „Pochwała“ Migneta. — Historyozofia *Rewolucyi francuskiej*. — Pokolenie francuskie w 1820 r. — Dzisiejsza młodzież francuska, jej apatya i pesymizm. — Dyagnoza Bourgeta. — Pokrewieństwo między realizmem francuskim i rosyjskim. — Uwagi p. de Vogué.

Doba wiosenna w Paryżu ma się już ku schyłkowi. *Grand-Prix*, wielkie wyścigi, uważane przez tak zwany *Tout-Paris* za kres pobytu w murach miejskich—już rozegrane. Zwyciężył tym razem angielski „Paradox.“ Odbyła się już także w lasku Bulońskim świetna zabawa kwiatowa, urządzona przez prasę na rzecz „ofiar obowiązku;“ zegarmistrz Pel, tajemniczy uśmierciciel swych żon i kochanek w chemiczno-kuchennym tyglu, który długo intrygował paryżan, został ze zwykłą w tych razach skwapliwością magistratury fran-

---

Perykles (*spostrzega*).

Kto to?

Aspazya (*odrzuca zasłonę*).

Ja.

Perykles.

Aspazya!

Protagoras, Fidyasz i Sofokles.

Aspazya!

Perykles.

Co tu robisz?

Aspazya.

Pytasz mnie, jak gdyby w całych Atenach było drugie serce, bijące równym o ciebie niepokojem. Przybiegłam tu sprawdzić okropne wieści, a zostałam w nadziei, że może, jak Elpinika swemu bratu, otrę ci kurz, podam wody i...

Perykles (*chwyta ją za ręce*).

Ach, nie żartuj, droga!.. Anaksagoras zna ją — Fidyaszu, Sofoklesie, Protagorasie — to moja najserdeczniejsza... przyjaciółka, z którą bądźcie łaskawi zostawić mnie na chwilę i uwiadomić, gdy lud się zbierze.

Protagoras (*odchodząc — do Anaksagorasa*).

Ja bym zrobił to samo, gdyby mnie odwiedziła taka śliczna przyjaciółka.

SCENA 10.

Perykles i Aspazya, później Cymon.

Perykles.

Jak to dobrze, że tu przyszłaś! Nie obawiałaś się mężczyzn obcych?

Aspazya.

Nie myślałam o niczem, tylko o tem, co się z tobą stało. Zresztą był tu Anaksagoras, który mnie po głosie odgadł i wraz z Fidyaszem skarcił Protagorasa za nieprzyzwoite drwiny.

Perykles.

Protagoras ci ubliżył?

Aspazya.

Wziął mnie za jedną z tych, które przychodzą cię... usypiać.

Perykles.

Przysięgam, że oprócz żony ty pierwsza...

Aspazya.

Sądziłam, że jako nauczyciel domowy zna twoje stosunki i zwyczaje.

Perykles.

Jest to człowiek przekorny i złośliwy, ale chociaż nieraz dowiódł mi swej życzliwości i niezawodnie tylko przez omyłkę i swawolę cię obraził, ostatni raz dziś dotknął mojej ręki.

Aspazya.

Mówisz, że ci życzliwy a może nawet byłby potrzebny?

Perykles.

Tak, ale mniejsza o to.

Aspazya.

Wcale nie mniejsza. Nie chcę cię nikogo pozbawiać, kto usłużyć zdolny twoim zamiarom. Pozwól — ja sama Protagorasa ukarzę. Ty zajmij się nieprzyjaciołmi, których masz wielu, bardzo wielu. Gdy przechodziłam przez miasto, ryczało ono jak morze, a po niem jak stado skrzeczących złowrogo mew uwijała się zgraja pańskich służalców z Elpiniką na czele. Pragnęłam wtedy, ażebyś w tem morzu stanął mocny jak skała i ażeby te wściekłe fale rozbijały się bezsilnie o pierś twoją. Ach, ile razy przez tych kilka dni umarłam z trwogi i rozpaczy! A przecież nie byłam bojaźliwą — taką dopiero uczyniła mnie miłość.

Perykles.

Światło moje, zdaje mi się, że przez czas naszego rozstania byłem w ciemności i teraz wyszedłem na jasność. Przed myślą zawieszał mi się ciągle twój uroczy obraz, który mnie wprawiał w omdlenie. Na ustach czułem świeżą słodycz twoich ust, w oczach — głęboki żar twoich spojrzeń, na twarzy — łagodne muśnięcia twoich włosów. I oto znowu jestem przy tobie, Aspazyo, ty czarowny uśmiechu natury! Matka poczęła cię chyba we śnie, w którym rozmarzały ją wszystkie wdzięki ziemi. Gdyby Bóg cię dojrzał,

cuskiej i ławy przysięgłych, skazany na śmierć, mimo że brakło materyalnych poszlak zbrodni; umarł zwycięzca z pod Fu-Czeu admirał Courbet, któremu Izba uchwaliła pogrzeb na rzecz państwa; „Salon“ zamyka swe podwoje, ażeby je otworzyć „Wystawie pracy“ — słowem wyczerpują się wszelkie zabawy i sensacyjne zdarzenia, nadchodzi czas, kiedy zamożny oraz próżniaczy Paryż rozjedzie się na wszystkie strony świata szukać wrażeń na lądzie i morzu i nastanie tak zwana pora ogórkowa. Pozostanie tylko Paryż pracujący bez wytchnienia, zawsze czynny i rojny, który obfity znój codzienny wynagradzać sobie będzie we wszystkie niedziele i dni świąteczne niezbędnemi wycieczkami w piękne okolice zamiejskie. W dni takie, wczesnym już rankiem, przy pomocy wszystkich miejskich arteryj komunikacyjnych rozpoczyna się tłumny *exodus* mieszczuchów, wyruszających z rodzinami i taborem na podbicie świeżego powietrza i zieleni; późnym dopiero wieczorem całe te rzesze zwycięskie, upojone nietylko powietrzem i wdziękami natury, ściągają do stałych swych siedzib...

Nie myślę jednak nudzić was długo podobnymi opisami. Wszystkie większe i wielkie miasta w krajach cywilizowanych żyją w podobny sposób, a Warszawa nie potrzebuje zazdrościć Paryżowi wyścigów, ani wystaw, sensacyjnych procesów, ani wycieczek zamiejskich — tembardziej, że posiada w dodatku swoje Wianki na Wiśle, których nie ma zupełnie na Sekwanie.

Zwróćmy się tedy do rzeczy będących wyłączną własnością nadsekwańskiej stolicy. Takiemi są niewątpliwie przyjęcia do Akademii... Świeżo właśnie zajął znowu miejsce zmarłego historyka Migneta, historyk również i ex-minister Wiktor Duruy, przyczem, oczywiście, wypowiedziano różne mowy i pochwały, z których nie zawadzi to i owo przytoczyć.

Mignet był historykiem zatopionym w dziejach wyłącznie, wiele prac pozostawił i doczekał się lat 87 na stanowisku długoletniego sekretarza Akademii. Według opinii wypowiedzianej w „pochwale“ (éloge) jego następcy, należał on do „szkoły chłodnego rozumu, który sądzi bez dogmatyzowania—i sztuki, która posiłkuje się licznymi szczegółami dla zarysowania jasnego widoku całości.“ Czerstwy ten i rzeźki mąż, przeżywszy długie lata w wybornem zdrowiu, według dewizy „usez, n'abusez pas,“ zaślubiwszy li muzę Klio, stosował do niej tę samą roztropną maksymę. „Filozoficzne umiarkowanie— mówił Duruy—Mignet zawdzięczał swemu charakterowi, równie jak pilnym studyom. Nauki pomagają nietylko do spokojnego przepędzenia życia, lecz i dobrego z niego korzystania. Historya mianowicie posiada cnotę uspokajania, prowadzącą do poznania słuszności. Uspokaja ona niecierpliwe porywy, ucząc, że czas jest wielkim robotnikiem dzieł ludzkich...“ Zapewne, często jednak dlatego robi tak wiele, że pracują nań niezmordowanie miliony głów i rąk, i pracują nie zawsze tylko umiarkowanie—mrówczej tej jednak roboty w oddalonej perspektywie nie widać; ocean życia wszystko kryje w swej głębi, a my zdaleka widzimy tylko lekko pomarszczone fale powierzchni czasu. I taką prawdę wynieść można z głębin przeszłości; mniej by się ona jednak nadawała do akademickiego kazania. „Historya uczy także— ciągnął dalej mówca—brać pod uwagę warunki otoczenia, każe liczyć się z wpływami, które na dany wypadek oddziaływały, i uznaje istnienie pewnych prądów moralnych, którym mędrzec powinien powierzyć się, ażeby pomyślnie dobił do portu.“ Mignet od początku swego pisarskiego zawodu płynął z prądem liberalnym i wierny mu do końca pozostał. Nie zawsze atoli był tak roztropnie umiarkowany, jak nas chce przekonać p. Duruy. Jego jednotomowa *Historya rewolucyi francuskiej* (1824 r.), nosi na sobie ślady gorących przekonań, a w r. 1830 podpisał protest, który go mógł zaprowadzić do więzienia lub na wygnanie, dzięki zaś tylko przyjaznemu zbiegowi okoliczności, zaprowadził go na stanowisko kustosza dawnego archiwum spraw zagranicznych, na którem już stale pozostał, czerpiąc obficie z tej skarbnicy dla późniejszych swych prac historycznych. Na tem dopiero stanowisku nauczył się tej mądrości umiarkowania, którą w nim tak chwali p. Duruy.

Mignet usiłował być historykiem pragmatycznym. Równie jak Monteskiusz, zwracał uwagę na wpływy fizyczne, przypisując im doniosłe znaczenie. „Odejmijcie Anglii—powiedział mówca—jej kopalnie węgla i żelaza, zasypcie La Manche a nie będzie tej wolnej Anglii, która jest fabryką i rynkiem świata. Francya ze swemi pięknemi rzekami, biegnącemi ku trzem morzom, z dwoma bulwarami, Alpami i Pirenejami jest jednym z krajów najlepiej obdarowanych pod względem geograficznym. Dlatego też w ciągu długich wieków grała rolę pierwszorzędną; i dziś geografia broni jej jeszcze, mimo fatalnego wyłomu na północo-wschodzie.“ Jako przykład szkodliwego wpływu niekorzystnych warunków geograficznych, Duruy przytoczył kraj, który nazywano jej siostrą.

Pozwolimy sobie przytoczyć jeszcze jeden ustęp z tej mowy.

„Zarzucano (?) Mignetowi, że szukał praw w historyi, podobnie jak koledzy nasi przyrodnicy szukają ich w naturze. Zdawał się on w istocie wierzyć początkowo w stały związek objawów ludzkich. „Działają one — pisał — konsekwentnie, spełniają się z koniecznością i posługują się ludźmi i zdarzeniami.“ Lub w innem znowu miejscu:

„Nie ludzie kierują wypadkami, lecz raczej wypadki powodują ludźmi.“ „Teorya ta — mówił dalej Duruy — była przez czas jakiś uważana za system Migneta, w czasach kiedy hegelianizm, wprowadzony do Francyi, kazał nam mówić, że pod Waterloo nie było zwyciężonych. Doświadczenie atoli nauczyło go, że historya niema tej ścisłej regularności i że bardzo wiele zajmują w niej miejsca ludzie genialni z ich namiętnościami i słabościami, oraz narody z ich zbiorowymi czynami... Jednostki wybitne i wybuchy masowe są potężnymi motorami dziejów.“

Posłuchajmy jeszcze, wśród jakich wpływów wzrastał Mignet. „Jego *Historya rewolucyi* — ciągnął Duruy — napisaną była zaledwie w dziewięć lat po upływie epoki 1789—1814 roku. Uprzytomnijmy sobie nastrój umysłów, wśród którego wychowywała się generacya 182' r. Urodzona w radości i bólach najobfitszego ze znanych porodów, wychowana na ławach cesarskiego uniwersytetu przy odgłosie dział z pod Austerlitz, dojrzała przy ostatniej katastrofie i wstępująca w życie publiczne podczas pełnego rozkwitu reakcyi rojalistycznej — w atmosferze tej przesyconej jeszcze tylu burzami, zaludnionej bohaterskiemi wspomnieniami i widziadłami sta-

---

opuściłby niebo. Wzrok, przesuwając się po twej postaci, wywołuje mi w nerwach rozkoszne dreszcze a w żyłach krew na ukrop rozgrzewa. Upajam się tobą...

Aspazya.

A jednak musisz być trzeźwym... tam gromadzi się naród.

Perykles.

Wrócę niedługo, a wyjadę nad ranem; zostaniesz u mnie — prawda?

Aspazya.

Jako — żona.

Perykles.

Żona?

Aspazya.

Wszakże rozwiodłeś się...

Perykles.

Ależ dziś...

Aspazya (*wesoło*).

Za parę sztuk złota kapłan nietylko z łóżka, ale z grobu wstanie i w naszem imieniu zarznie bóstwu na ofiarę kilka tłustych jałowic, które w jego imieniu potem zje. Matka moja czeka na mnie przed domem i związek nasz pobłogosławi a twoi przyjaciele odśpiewają pieśń weselną.

Perykles.

Nie jestem do tego przygotowany... Należałoby wprzódy usunąć pewne przeszkody... Nie żądałaś tego nigdy...

Aspazya.

Bo i ty nie żądałeś ode mnie dowodu miłości, którego bez utraty czci dać bym ci nie mogła. A nie sądź, ażeby złożenie ofiar, wykąpanie się w wodzie z wyznaczonego oblubieńcom źródła, zjedzenie ciast i wysłuchanie śpiewów weselnych, ażeby wszystkie obrzędy ślubne czyniły według mnie świętym i prawnym związek kochających się serc! Bynajmniej, gdyby świat nie był bezmyślnym, gdyby nie poniewierał ludźmi wyzwolonymi z jego przesądów, gdyby one nie wkorzeniły się w najlepsze dusze — zostałabym tu na zawsze i nie powiedziała nawet niewolnikom, że jestem twoją żoną. Ale ten nasz świat, który stworzył sobie rozpustnych bogów, ażeby mógł ich bezkarnie naśladować, zgniótłby mnie pogardą i napiętnował mianem hetery. A i ty, Peryklesie, przyznałbyś mu słuszność, bo gdy ci wspomniałam o małżeństwie, cofnąłeś się zdziwiony. Mężczyzna dla przekonania kobiety kochanej o swej miłości ma tysiące sposobów, ale o swym szacunku tylko jeden — małżeństwo. Mnie zaś chodzi o twój szacunek tyle, ile o twoją miłość. Mogę pozostać nadal Aspazyą, przed którą klęka najpotężniejszy człowiek w Atenach, ale królową w jego sypialni a zhańbioną służebnicą w jego całem życiu i matką jego wyrzuconych ze społeczeństwa dzieci — nie będę! Na to mam za mało zwierzęcej namiętności, a za wiele ludzkiej dumy!

Perykles (*zmieszany*).

Zapominasz, droga moja, że nie jesteś obywatelką ateńską, że nie uznanoby cię za żonę, dzieci naszych nie wpisanoby do prawego rodowodu...

Aspazya.

Więc je lep' j bez oporu, dobrowolnie skazać na rozszarpanie przez wszystkie złe losy i wrzucić w paszczę temu drapieżnemu potworowi, który się nazywa prawem obywatelskiem! Ja tej zbrodni nie popełnię! Dla was mężczyzn — to chwała walczyć o panowanie arystokracyi lub demokracyi, o rzeczpospolitą lub monarchię, o przywileje areopagów i zgromadzeń ludowych, ale podnieść bojową chorągiew krzywd człowieka, nieposiadającego uszlachconych przodków — to cel niegodny waszej wielkości. Ja nie jestem obywatelką, moje dzieci nie byłyby zapisane do ksiąg rodowych, ależ tyś mocarz. Gdybyś chciał, ja nie stałabym z dziećmi nisko, kiedy ty stać będziesz wysoko. Ale ty boisz się walki... ty mnie nie kochasz, może nawet nie pożądasz!

Perykles.

Aspazyo... przestań!..

Aspazya.

Ha, ha, ha, czy jeszcze nerwy twoje

rego porządku—generacya ta była przejęta gorącą miłością szlachetnych porywów, sławy i wolności i walczyła zacięcie przeciwko reakcyi" (bez należytego zapewne umiarkowania).

Od tego dawnego pokolenia młodzieży francuskiej przejdźmy do współczesnej, która żywo właśnie zainteresowała dziennikarstwo tutejsze... swą obojętnością i pesymizmem. W ostatnich zeszytach *Revue politique et littéraire* ukazały się mianowicie dwie prace, poświęcone temu przedmiotowi *). Prócz tego jeden z najzdolniejszych krytyków francuskich młodej szkoły, Paweł Bourget zamieścił w *Journal des Debats* z d. 16 b. m. osobne studyum, p. t. *Le pessimisme de la jeune génération.*

Rozejrzmy się bliżej nieco w tej sprawie.

Nie zatrzymamy się szczegółowo nad artykułami w *Revue Bleue*, p. Ordinaire bowiem powstaje li ostro na pesymizm z optymistycznego punktu widzenia, co żadną dyagnozą nie jest, Lemaitre zaś z pewnym eklektyzmem wyjaśnia warunki, w jakich rozwijały się dwa owe pokolenia młodzieży francuskiej. Zasługuje jednak na powtórzenie to, co mówi Bourget. Powiada on, że przyczyny obecnego nastroju młodzieży francuskiej szukać należy w warunkach i wpływach, w jakich wzrastała. Otóż rosła ona pod wrażeniem niemieckiego najazdu i wojny wewnętrznej. Wypadki te nie mogły nie wywrzeć na nią przykrego, pognębiającego wpływu. Po wojnie wprawdzie rozbudził się duch patryotyczny, który wziął sobie za hasło poprawę i odrodzenie, prócz odwetu. To jednak, co następnie w tym kierunku zrobiono, nie mogło natchnąć młodego pokolenia zbyt wielką otuchą. Zamiast jednolitego i energicznego odradzania się występywało na jaw coraz większe rozdwojenie w obozie politycznym, a Izba i sfery kierujące zużywały się tylko w wzajemnych starciach stronniczych bez widocznego pożytku dla kraju. Stan taki mógł tylko powiększyć istniejące już rozczarowanie. „Jaki prąd—pyta Bourget—unosił wówczas literaturę? Można było sądzić przez chwilę, że naturalizm przeważy w niej stanowczo. Dość jednak czytać przeglądy, redagowane obecnie przez młodych, ażeby się przekonać, że liczą oni w swych szeregach więcej rozczarowanych, niż wierzących i przekonanych *). Estetyka naturalistyczna zamiast krystalizować się w program wyrobiony—roztapia się coraz bardziej w mętny mistycyzm. Daje się zauważyć skłonność ku marzeniom i symbolistyce **). Jednych pociąga poezya Północy...; inni znowu naśladują Edgara Poë, przesadzając jeszcze jego manierę. Jest to bezład, wśród którego nikt i nic nie zdobywa sobie przewagi, i który zdradza tylko przygnębienie i jakby rozpaczliwą walkę z ogarniającym pomrokiem. Podobna niepewność zapanowała i w zakresie wielkich zagadnień metafizycznych i religijnych. Krytyka współczesna, głosząc z jednej strony historyczne równouprawnienie wszelkich dogmatów, zadała cios śmiertelny wolnomyślnemu fanatyzmowi (aux fanatismes de la libre-pensée), z drugiej—pozytywizm naukowy, spychając wszelkie kwestye o pra-przyczynach (questions de causes) w dziedzinę Niewiadomej, przyczynił się mocno do ochłodzenia filozoficznego zapału. Na wszystkich polach więc spotykamy powikłanie, mrok, grunt niepewny i nieustalone zasady, nawet w zagadnieniach najbardziej żywotnych. Oto—powiada Bourget—co spotyka dziś naszą młodzież."

Drugi szereg przyczyn owego zniechęcenia widzi krytyk w obecnem przebrażeniu obyczajowem i społecznem, odbywającem się stale lubo niedostrzegalnie. Po utrwaleniu się trzeciej Republiki, młodzież klas wyższych uchyliła się od zajęć publicznych, uboższa znowu znalazła coraz bardziej wzmagające się współzawodnictwo w zdobyciu stanowisk życiowych. Młodzież arystokratyczna, ujawniająca przekonania klerykalne i monarchiczne, oddała się li zabawom, życiu bez celu i doszła do zdenerwowania, towarzyszącego każdemu jednostronnemu przesytowi; młodzież znowu ubiegająca się o stanowiska doszła do podobnego rozstroju wskutek trudności walki o byt, oraz wyjałowienia i duszności otaczającej umysłowo-moralnej atmosfery. Na takim gruncie wyrósł pesymizm i apatya, którą dziś widzimy powszechnie.

Bourget stara się jednak określić dokładnie grunt, na którym krzewi się choroba. Nie cała młodzież francuska jest oczywiście zarazą tą dotknięta. Wiejska, robotnicza nie wchodzi tu w rachubę. Pesymizm szerzy się wyłącznie w kołach tak zwanej inteligencyi. Wyprowadzając ostateczne wnioski z tych spostrzeżeń, autor nie sądzi, ażeby ujawniający się coraz bardziej w gronach młodzieży i w całej najmłodszej literaturze pesymistyczny mistycyzm lub mistyczny pesymizm, był oznaką zepsucia i rozkładu. Mniema on, że jest to tylko stan przejściowy. Twierdzi przytem słusznie, że pesymizm i mistycyzm nie jest to nastrój jałowy, oznaczający zupełne rozczarowanie i niemoc, lecz raczej jest to wejście w siebie, samotne rozmyślanie, w którem wyrabia się zapał, z czego znowu rozwinąć się może siła i dzielność moralna. Pesymizm jest to poczucie braku ideału a mistycyzm to także pogoń za czemś niedoścignionem. Ci przytem — powiada krytyk — przyspieszą rozwiązanie i dopomogą spełnić się fazie przejściowej, którzy zamiast drwić sobie z panującego dziś usposobienia, kochać będą tę generacyę i rozumieć ją.

Już w jednem z poprzednich swoich studyów *), pisząc z powodu świeżo wydanego dzieła o najnowszej poezyi angielskiej, Bourget zrobił uwagę, że „po orgii realizmu, jakiej oddali się niektórzy naturalistyczni pisarze od roku 1870, nadchodzi obecnie nieunikniona reakcya; po ubóstwianiu życia—kult marzeń." Zwrot ten miał się już najbardziej uwidocznić w książce Huysmansa *Au Rebours*, wydanej przed kilku miesiącami. Poprzednikiem tego kierunku w literaturze jest według Bourgeta—Paweł Varlaine, jeden z „parnasyjczyków," w malarstwie zaś Gustaw Moreau.

*) Nr. 23, *Les jeunes* par Dionys Ordinaire; Nr. 24 *La jeunesse sous le second empire et la troisième république* par Jules Lemaitre.

*) Podobny zwrot można zauważyć i w „impresionizmie," zwłaszcza w licznej dość szkole wybitnego malarza Puvis de Chavannes.

**) *Revue independante*, główny organ naturalistów, po rocznem istnieniu, przestał właśnie wychodzić. Usiłował on ostatnimi czasy dołączyć do swego literackiego programu—program społeczno-polityczny, próba ta jednak nie udała się.

*) *Journal des Debats* 14 kwietnia r. b. „Etudes et portraits."

---

rozkosznie drgają a krew kipi?.. Do widzenia strapiony kochanku (*gwar za sceną*).

Perykles.

Posłuchaj mnie... (*do wchodzącego niewolnika*) Co tam?

Niewolnik.

Kilku obywateli przyprowadziło Cymona, który pragnie widzieć się z moim panem.

Perykles.

Cymon? Proś go. (*do Aspazyi*) Błagam cię — zatrzymaj się — wejdź do tej komnaty (*Aspazya oddala się*).

SCENA II.

Cymon i Perykles.

Cymon.

Upewniłeś mnie pod Tanagrą, że mogę wrócić bezpiecznie do Aten i że mi wyjednasz odwołanie z wygnania. Dotąd nie wiem, o ile twym słowom ufać winienem. Ledwie ukazałem się na ulicy, pochwycono mnie jak zbiega, a gdym tobą się zasłonił, przywiedziono tutaj. Chociażbym zasłużył na karę, to jednak nie na znęcanie się motłochu. Racz więc oświadczyć bosym obywatelom, którzy tam czekają, na czyjej jestem łasce.

Perykles (*zbliżywszy się do wejścia*).

Cymon jest moim gościem a zaraz będzie waszym.

Cymon.

Ja ich gościem? Do pioruna, nie urągaj mi! Gardziłem czernią, gdym jej rozkazywał, a gardzę nią jeszcze bardziej, gdy ona mi rozkazuje.

Perykles.

I z tem uczuciem chciałeś uczestniczyć w bitwie pod Tanagrą, wtedy, kiedy jakiś zbir z waszej partyi, ukryty w naszych szeregach, tajemnie zamordował śpiącego Efialtesa?

Cymon.

Byłem tylko wodzem żołnierzy, ale nie zbójów: rachunku więc z tej zbrodni zdawać ci nie myślę, tak jak nie żądam go od ciebie za śmierć stu moich przyjaciół, którzy, gdy mi nie pozwolono, wzięli udział w walce i wszyscy polegli, ażeby się przekonać, że my zdradzać nie umiemy.

Perykles.

Ja nie wątpiłem o tobie.

Cymon.

Więc któż?

Perykles.

Wojsko, wzburzone zamordowaniem Efialtesa, domagało się, ażeby cię nie puścić.

Cymon.

Wojsko ateńskie, z którem tyle zwycięstw odniosłem, posądzało mnie o zbrodnię... o zdradę! Grecyo — ja, który byłem twoją chlubą, pod koniec życia mam być twoją sromotą? Bogi sprawiedliwe, czy to prawda? Nie, Peryklesie, takiej zniewagi nie domagało się dla mnie wojsko, ale pijacy, hultaje, łachmaniarze, cały ten twój lud ateński, który ściągnąłeś pod Tanagrę w nadziei, że zakazisz nim powietrze i że spartanie zatkawszy nosy, uciekną!

Perykles.

O ile ten lud jest takim, winna wasza nienasycona chciwość, wasz ucisk, wasza samowola, wasza pycha, wasze gwałty, wszystkie zdrożności waszego egoizmu. Obdarliście go z praw i wynagrodziliście za to pogardą. Uczyniliście go ciemnym, biednym i zepsutym a teraz chcielibyście nawet pozbyć się jego widoku. Ale on strząśnie z siebie nogi, które go depczą, dźwignie się z poniżenia i upadku, odzyska swoje prawa. Już wygania Cymonów a wkrótce zacznie burzyć ich schroniska. Ja mu do tego pomogę!

Cymon.

Marzysz... marzysz! Chcesz wytoczyć na górę bezduszne cielsko, które na najwyższym szczycie pozostanie martwem i zgniłem. Choćbyś najdłużej przemywał i wygniatał glinę, szlachetnego kruszcu z niej nie zrobisz. Bóg świat urządził a ludziom kazał tylko zgadywać swe plany. On je-

Do tych uwag dołączyć jeszcze wypada nader ciekawe i charakterystyczne spostrzeżenia, jakie poczynił p. Melchior de Vogué w mistrzowskich swych studyach o Turgeniewie, Tołstoju i Dostojewskim, drukowanych w *Revue des deux Mondes* zeszłego i bieżącego roku. Należy wiedzieć, że wymienieni pisarze rosyjscy cieszą się obecnie wielką popularnością we Francyi, właśnie z powodu swego realizmu i mistycyzmu. Turgeniew znany tu był już dawniej, główniejsze jednak prace dwóch ostatnich niedawno zostały przyswojone literaturze francuskiej. Ogromny szczególniej rozgłos zyskało Dostojewskiego *Crime et Châtiment.* Poznajamiając w sposób głęboki i wszechstronny swe społeczeństwo z pracami powyższych pisarzy, Vogüé robi przy tej sposobności ciekawe uwagi co do samego powieściowego realizmu, i rzuca trafne nader spostrzeżenia porównawcze o realizmie rosyjskim i francuskim. W pracy swej o Tołstoju *) wypowiada on zdanie, że mistycyzm, zabarwiony czemś w rodzaju budyzmu jest kresem, ku któremu zdąża cała obecna literatura realistyczna rosyjska. Na podstawie tej wnioskuje on dalej, że taki sam los czeka i naturalizm francuski, co jak widzieliśmy potwierdza i Bourget. Ciekawe są także uwagi p. de Vogüe o wzajemnym charakterze i wartości obu realizmów, rosyjskiego i francuskiego. Autor przyznając temu ostatniemu większe zalety pod względem artystycznego wykończenia całości, stawi jednakże wyżej realizm rosyjski pod względem moralnej wartości i siły przedstawienia niektórych epizodów. Brak miejsca nie pozwala mi rozpisać się obszerniej w tym przedmiocie.

Dzienniki francuskie powtórzyły świeżo za rosyjskimi następujący list, pozostawiony przez 22 letniego samobójcę, który pozbawił się życia temi dniami w Jarosławiu w Rosyi: W liście tym pisał on: „Cierpię na straszną apatyę względem wszystkiego i wszystkich. Nie mam siły żyć dłużej, głowa mi pęka od pytań, na które nie znajduję odpowiedzi, i które mi nie dają ani chwili spokoju. To zbyt boleśnie.“ Słowa te są doskonałą ilustracyą tego, co wyżej powiedziano.

*) *Revue des deux mondes*, 15 lipca 1884.

Czasy René i Werthera, jak widzimy, wracają.

P.

ZARYS SOCYOLOGII *).

Myśl stworzenia umiejętności o społeczeństwie tkwi już bezwątpienia w systemach materyalistycznych encyklopedystów XVIII w., którzy wszystkie zjawiska natury i świata społecznego usiłowali wyjaśnić i wywieść z jednej zasady, z jednego pierwiastku. Do tych systemów należy sławny „system natury“ Holbacha, wydany w końcu zeszłego wieku po francusku pod pseudonimem: Mirabaud. Znakomity ten filozof z zasadniczych sił przyciągania i odpychania tłomaczy nam nietylko krążenie ciał niebieskich, życie roślin i zwierząt. ale nawet dzieje społeczne i polityczne. Holbach wyprzedził pod pewnym względem nowożytną filozofię monistyczną. Niechaj o tem przekona ustęp z dzieła jego. „We wszystkich zjawiskach życia człowieka, od kolebki aż do grobu, nic widzimy nic innego, jak tylko jeden ciąg przyczyn i skutków koniecznych, wynikających z praw powszechnych, rządzących całą naturą. Sposób działania człowieka, jego uczucia, myśli, namiętności, chęci, czyny—są to następstwa konieczne własności jego i własności jestestw, które go otaczają.“ W tym i podobnych ustępach dzieła Holbacha leży zaród nietylko monizmu ale i socyologii nowożytnej. Jednak dopiero uczeń St. Simona, August Comte wypowiedział jasno myśl i zadanie nowej umiejętności, której zarazem nadał nazwę. „Trzeba stwierdzić—powiada on—możliwość stworzenia i uprawiania umiejętności społecznej na wzór umiejętności ścisłych; trzeba oznaczyć właściwość jej i położyć jej podstawy.“ Jaka to ma być właściwość, jaki charakter tej nowej nauki—wynika z następujących słów Comte'a: „Podporządkowanie ludzkości pod prawo nieprzerwanego *rozwoju*, które nam przedstawia ewolucyę *obecną*, jako następstwo przemian dawniejszych, stanowić będzie wyłączny charakter nowej filozofii.“ Gdyby nam Comte jeszcze tylko wyjaśnił, na czem polega ten rozwój, ta ewolucya, gdyby nam dał wyraźne i dobitne znaczenie i pojęcie tego wyrazu, wtedy możnaby było uznać, że z założonego sobie zadania wywiązał się należycie. Tego uznania jednak, niestety, Comte'owi odmówić musimy. Na jego pojęcie rozwoju ludzkości (ewolucyi) trudno się zgodzić. Polega ono bowiem zupełnie na owem zdaniu Pascala, że „następujące po sobie w długim ciągu wieków pokolenia ludzkości, powinny być uważane jako *jeden człowiek*, który żyć nie przestaje...“ Otóż Comte mniema. że „socyologia jest spełnieniem formuły Pascala i przedstawia rodzaj ludzki jako niezmierną *jedność*, której różne części przyczyniają się do *ewolucyi powszechnej*.“ W tym poglądzie leży zasadniczy błąd—biorąc ludzkość, jako *jedność*, za punkt wyjścia, niepodobna rozwinąć teoryi socyologicznej. Ludzkość bowiem nie była nigdy taką jednością, ani nią nie jest. Chcąc dojść do poznania prawdziwych praw, rządzących życiem społecznem, trzeba przedewszystkiem o ich podmiocie mieć wyobrażenie, odpowiadające rzeczywistości. W rzeczywistości zaś ludzkość składała się zawsze z niezliczonej ilości gromad, szczepów i plemion, które nawzajem starały się wyzyskiwać, podbijać, ujarzmiać itd. Tylko biorąc rzeczy tak, jak one istotnie są, zapatrując się na nie trzeźwo, bez wszelkich uprzedzeń, ani uczuć, można poznać właściwą ich naturę i prawa, według których się rozwijają. I następcy Comte'a grzeszyli tym błędem: mieli badać rozwój ludzkości, o której zupełnie fałszywe, najczęściej monogenistyczne posiadali wyobrażenie. Herbert Spencer również, jakkolwiek trzeźwo bada stosunki *gromad* ludzkich, niejasnym jest co do *ogółu* ludzkości. Znana jego formułka „ewolucyjna“ zdaje się mieć za podmiot ludzkość jako *jedność*, choć właściwie lepiejby się stosowała do niezliczonej mnogości gromad ludzkich, wstępujących z sobą w zapasy i walki o panowanie. W każdym razie wszakże Spencer jest prawdziwym twórcą Socyologii, jako umiejętności. i bez porównania wyżej stoi niż wrzekomi następcy jego Schäffle i Lilienfeld, którzy

*) Chętnie czyniąc zadość wezwaniu szan. Redakcyi, przesyłam *Prawdzie* krótkie streszczenie wydanego przezemnie świeżo w języku niemieckim „Zarysu Socyologii“ (*Grundriss der Sociologie*. Wiedeń 1885).

---

dnym dał zdolności do pielenia warzyw, innym do sprawowania rządów; on utrwala w potomkach talenty przodków. Daremnie byś pasował się z wolą niebios.

Perykles.

Z czynów rozumnych i zacnych chwalicie się sami, a nierozumne i niegodziwe przypisujecie bogom. Znana to taktyka! Tymczasem te wasze zdolności, utrwalające się dziedzicznie, jeżeli nie są ssawkami do wyniszczenia narodu, to w najlepszym razie siłami, używającemi swobody. Mniemana wyższość arystokracyi jest tylko jej uprzywilejowaniem. Spętanego jelenia prześcignie rozpętany osioł. Przepuść wszystkich arystokratów przez nędzę i niewolę, a synowie ich zapomną, że ojcowie umieli jeść granaty i rzucać do urny wyborczej gałki. I lud więc ateński stępiał, ale jego drzemiący geniusz budzi się. To nie są już owe Ateny, które opuszczałeś, Cymonie, to nie wygodno łoże arystokratycznego karła, ale kolebka młodego olbrzyma. Ja go wychowam, skupię koło niego i połączę wszystkie państwa Grecyi, zwrócę go wraz z niemi przeciwko jaskini barbarzyństwa i gwałtu — przeciwko Sparcie!

Cymon.

Na cóż ja ci przydatnym być mogę w kształceniu tego olbrzyma?

Perykles.

Dla nas byłoby dosyć miejsca w Atenach, dla naszych stronnictw za mało. Jako największy wódz Grecyi służ swojej ojczyznie, ale jako przewodnik partyi arystokratycznej musisz ustąpić. Chcesz jechać do Egiptu i wyprzeć stamtąd persów?

Cymon.

A potem?

Perykles.

Alboż będziemy bezpieczni? Na całe życie wojny ci wystarczy.

Cymon.

Więc już nigdy nie mam tu wrócić?

Perykles.

Nigdy.

Cymon.

Straszny wyrok! Być wiecznym tułaczem... nie zobaczyć nawet przed zgonem ojczyzny, którą tak kochałem — okrutne przeznaczenie!

Perykles.

Spełnić się musi.

Cymon.

Pojadę!

Fidyasz (*wchodzi*).

Lud zgromadził się — czeka.

Perykles (*do Cymona*).

Spieszmy.

Aspazya (*wybiega z komnaty*).

Ja tu jestem.

Perykles (*do Cymona*).

Cymonie, moja... żona.

Cymon.

Druga. Wolno mi wiedzieć, czyja córka?

Perykles.

Ariocha z Miletu.

Cymon.

Nieobywatelka ateńska? (*wychodzą*).

SCENA 12.

Aspazya, później Matka.

Aspazya (*do siebie*).

Nieobywatelka... (*Przez chwilę stoi, tłumiąc gniew, nareszcie rozwesela się powoli*).

Matka (*wsunąwszy się cicho*).

Peryklos kazał mi wejść...

Aspazya (*uniesiona*).

Przynieś mi matko kwiatów na głowę i zapal pochodnię hymenu, bo dziś mnie zaślubia Perykles!

Koniec aktu pierwszego.

się gubią w labiryncie podobieństw między życiem społecznem a życiem organizmów. Natomiast najobfitszego materyału dostarczył Socyologii p ofesor berliński Bastian w licznych dziełach swoich etnologicznych, cenne zaś przyczynki zawdzięczamy Lippertowi, który pisał o rozwoju rodziny i kapłaństwa *).

Głównym szkopułem, o który rozbijały się dotąd wszelkie wysiłki zbudowania umiejętnego systemu socyologii, była, obok wspomnianego już fałszywego pojęcia o ludzkości, niejasność co do natury *zjawisk* i *praw* społecznych. Podstawą bowiem wszelkiego badania jest dokładne rozróżnienie zjawisk i poznanie odrębnej natury każdego ich rodzaju. Na pierwotnych zaś stopniach rozwoju nauki, zwłaszcza przyrodniczej, rozróżnienia te są bardzo powierzchowne. I tak badacze natury pierwotnie rozróżniali tylko zjawiska (czy istoty) martwe i żywotne, w miarę dostrzegania w przedmiotach życia lub martwoty. Postęp przyrodoznawstwa spowodował podział na zjawiska organiczne i nieorganiczne, podział polegający już na głębszej znajomości rzeczy, niż pierwszy. Następnie dzielono zjawiska na nieorganiczne, organiczne i psychiczne, i przeciwstawiano te ostatnie, jako mające źródło swe w duszy ludzkiej, pierwszym, będącym tylko wyrazem *ślepych* sił przyrody. Po za ten podział jednak na zjawiska organiczne, nieorganiczne i psychiczne, nie posunięto się jeszcze naprzód. Nie zachodziła tego potrzeba, albowiem wszelkie objawy społeczne uważano za wypływ działalności wolnej woli człowieka, wolnej jego duszy, i podciągnięto je pod rubrykę psychicznych. W tem jednak spoczywał gruby błąd. Zjawiska bowiem społeczne nie są *wynikiem* duszy jednostki, ale owszem najpotężniejszym czynnikiem, wpływającym na ukształcenie jej. Nie jednostka rządzi i kieruje zjawiskami społecznemi, ale one rozstrzygają o jej losie. Społeczne więc zjawiska nie są psychicznemi—prędzejby raczej psychiczne w pewnem znaczeniu można podciągnąć pod społeczne. Pod ostatniemi rozumieć musimy takie, które nam się przedstawiają zawsze tylko wskutek *współdziałania dwóch lub więcej zbiorowości społecznych*. Podbój, urządzenie państwa, walki ekonomiczne—oto są zjawiska *społeczne*.

Uznawszy zaś raz odrębny charakter tych objawów, nie zawisłych od woli, ani od działalności jednostek, dochodzimy w dalszym ciągu do poznania, że objawy te podlegają pewnym prawom odrębnym, według których *odwiecznie* i *stale* powstają, przechodzą pewne koleje i rozwoje i znów znikają. Prawa te odszukać i badać jest zadaniem socyologii. W tym celu jednak i aby się ustrzedz wielu omyłek poprzedników, rozróżnić wypada odrębne prawa, ujawniające się nam *w każdej dziedzinie zjawisk z osobna* od praw ogólnych, rządzących zarówno zjawiskami wszystkich wspomnianych dziedzin. Takiemi ogólnemi prawami są np. prawo przyczynowości, mocą którego w *żadnej* dziedzinie, (więc i w dziedzinie psychicznej) żadne zjawisko nie występuje bez przyczyny; prawo rozwoju które również ujawnia się we wszystkich dziedzinach zjawisk, bo czy to organizmy roślinne czy zwierzęce, czy umysł jednostki, czy ustrój państwowy—wszystkie podlegają *rozwojowi*, tylko że w każdej z dziedzin ogólne to prawo inaczej się *wyraża*, a więc w organicznej wzrostem fizyologicznym, w dziedzinie psychicznej zgłębieniem myśli i rozszerzeniem się widnokręgu umysłowego, w społecznej powiększeniem się państw, pomnożeniem ich środków materyalnych itd. Błędem zaś poprzednich socyologów było, że mieszali z sobą te różne wyrazy i sposoby ujawniania się ogólnego prawa rozwoju, zamiast zostawić każdemu rodzajowi zjawisk właściwą mu naturę. Ta fałszywa metoda gmatwała i zaciemniała myśli. Dalszemi prawami ogólnemi są: prawidłowość rozwoju; peryodyczność; ogólna celowość; wieczna tożsamość sił, i wieczna tożsamość procesów społecznych, nareszcie równoległość (paralelizm) tych procesów. t. j. że jednakie odbywają się równocześnie na różnych punktach ziemi, pod wpływem tych samych warunków.

W najogólniejszych formach łatwo wykazać panowanie tych praw we wszystkich dziedzinach, ale, aby te zjawiska w nich pojąć i wytłomaczyć prawa ogólne nie są dostateczne; trzeba raczej wyśledzić szczegółowe prawa, objaśniające nam poszczególnie zjawiska szczególnych dziedzin. Tak np. można mówić zarówno o roślinie, jak i o państwie, że się *rozwija;* pojęcie to rozwoju stosuje się w ogólnem swem znaczeniu do rośliny tak dobrze, jak i do państwa. Ale jeżeli chcemy zrozumieć i wytłomaczyć właściwą każdemu z tych dwóch zjawisk naturę, musimy mówić o rośnięciu rośliny i o zwiększaniu się terytoryalnem państwa i gromadzeniu przezeń bogactw i zasobów. Otóż socyologia nie może poprzestawać na owych ogólnych prawach, ale winna szukać szczegółowych praw społecznych. Będą to takie, które rządzą wzajemnymi stosunkami i oddziaływaniami żywiołów społecznych. Żywiołem zaś takim nie jest jednostka, która nie liczy się wcale w procesie społecznym. Proces ten odbywa się tylko między *grupami*, między zbiorowościami. Z niemi to tylko socyologia ma do czynienia. Takiemi zbiorowościami są *państwa*; w państwach *stany* i *klasy*; w stosunkach przedpaństwowych *szczepy* i *ludy*—a jeżeli badanie posuniemy do najwcześniejszych początków ludzkości — *pierwotne gromady*. Skąd one się wzięły—odpowiedź na to pytanie socyologia zostawia innym umiejętnościom.

Te gromady pierwotne, których musiała być na ziemi niezliczona ilość, są jednolite w sobie; czują się jako takie a zarazem mają głębokie poczucie swej różności od innych gromad. Walka na zabój z każdą obcą, trzymanie się swojej i wzajemna pomoc między swoimi—oto wrodzone instynkta ludzi pierwotnych.

Celem tych walk jest, (mianując go wyrazem najogólniejszym)—*wyzysk*. Zależnie od stopnia kultury wyzysk ten objawia się w różnej formie. Dzika gromada napada na obcą, żeby jej członków pozabijać i zjeść. Wyżej nieco stojąca napada na innych w zamiarze łupienia i rabowania, porywania kobiet i dzieci lub nareszcie pozyskania niewolników. Uprowadzenie kobiet i niewolników jest ważnym momentem w procesie socyalnym; tym sposobem bowiem tworzą się pierwsze ogniwa łączące z sobą *antropologicznie* różnorodne gromady ludzkie. Ujarzmienie zaś obcej gromady i utworzenie z niej stanu niewolników, daje zarazem początek rozwojowi społecznemu. Panowie i niewolnicy—oto początek państwa. Stosunek ich wzajemny, dążenia ich obopólne są wszędzie i zawsze w gruncie rzeczy te same, albowiem wypływają koniecznie ze stanowiska—że tak powiem—*gospodarczego*, zajmowanego przez te pierwsze dwa stany społeczne w organizacyi państwa. Jeżeli między te dwa stany wsuwa się obcy żywioł, kupiecki, co najczęściej się zdarza, wtedy owa organizacya w rozwoju swoim przechodzi na dalszy, wyższy szczebel. Utworzony bowiem wtedy *stan średni*, idąc za naturalnym popędem swoich interesów, stara się wyzyskiwać i jednych i drugich, i panów i niewolników, a tem samem podnieca całe życie społeczne, pobudza i jednych i drugich do silniejszej czynności społecznej, wywołując reakcye z góry i od dołu, i wikłając tę walkę społeczną, która stanowi duszę wszelkiego rozwoju cywilizacyjnego.

Niewolnicy, panowie i stan średni—oto główne trzy żywioły wszelkiego ustroju państwowego — które zarazem wszędzie i zawsze mają początek samorodny (antogenetyczny) to jest nie są *wynikiem* rozwoju społecznego, ale tkwią w *różnorodności szczepowej*. Natomiast rozwój społeczny daje początek i wytwarza inne jeszcze stany i klasy, które zatem nazwać należy rozwojowemi (ewolucyonistycznemi). Powstanie tych ostatnich wywoływane jest zawsze jakiemiś ogólnemi potrzebami społecznemi. Gdzie tylko taka potrzeba występuje, tam wnet powstaje stan odrębny, który ją zaspakaja. Tak np. przemysł fabryczny w nowszych czasach zrodził stan robotników — zawsze zaś i wszędzie od najdawniejszych czasów potrzeba moralna zaspokojenia umysłu ludzkiego, względem otaczających i niepokojących go tajemnic i zagadnień życia i świata, wywoływała powstanie stanu kapłanów.

Raz utworzone stany rozwojowe, rekrutujące się z pierwszych trzech samorodnych, oddzielają się od reszty społeczeństwa jako odrębne grupy czy klasy, mające osobne swe interesy, których *istotę* najogólniejszym wyrazem również nazwać by można *wyzyskiem* tej reszty.

Każda taka grupa, każda taka społeczność zachowuje się względem innych wiecznie według tych samych prawideł—dąży nieodzownie do coraz większego wyzysku innych społeczności i klas, stara się zapewnić sobie niezawisłość, swobodę itd. Prawidłowe te i konieczne wzajemne akcye i reakcye stanów i klas społecznych względem siebie wytwarzają różne zjawiska socyalne, psychicznej natury—jak np. religię, moralność, prawo itd. Moralność jest ogółem tych form postępowania, które bądź to w jednej odrębnej grupie, bądź w kilku grupach społecznych ustalają się jako potrzebom tychże najwłaściwsze; prawo wydobywa z całego obszaru moralności jedne lub drugie co najważniejsze formy i ogłasza je jako obowiązujące ogół. Wypływa ono tym sposobem z moralności; ale bezustanny, acz powolny rozwój społeczeństwa i moralności powoduje, że często prawo staje w sprzeczności z nową moralnością, która od dawnej, będącej jego źródłem, zbyt daleko odbiegła.

Jednostka jest wynikiem swej grupy, a owe czynniki społeczno-duchowe, jak: religia, obyczaj, moralność, prawo itd. wpływają na jej ukształcenie moralne. Jednostka *taką* jest i *tak* działa, *jaką* ją wytworzyła grupa i *jakiemi* wyobrażeniami moralnemi ją wyposażyła. Ani inną być, ani inaczej działać nie może. Jest to bowiem złudzenie tylko, jakoby ona *własne* miała myśli i dążenia: jej myśli są myślami wyrobionemi w jej grupie, a dążenia są tylko cząstką dążeń zbiorowych. Prawidłowości i konieczności socyalnej żadna jednostka przełamać nie może. W procesie dziejowym jednostki nie ważą, tylko grupy. Czasem jedynie wzbijający się osobnik przewodni budzi pozór samodzielnej akcyi lub nawet kierownictwa: jest on wszakże niemniej bezwładną tylko cząstką swej grupy, pędzoną prądem jej myśli i dążeń.

Prócz prawidłowych i koniecznych wzajemnych oddziaływań grup społecznych i tych wpływów moralnych, jakie one na składające je jednostki wywierają, ostatni przedmiot badań socyologii stanowią pewne ogólne zjawiska, występujące na tle całego procesu dziejowego, co do których filozofia historyj dotychczas nie osiągnęła stanowczych rezultatów. Zjawiska te zatem nie są dotychczas jeszcze stwierdzone, jeno przebłyskują w kwestyach filozoficznych. Taką kwestyą jest zagadnienie postępu ludzkości, *sprawiedliwości* dziejowej itp. Socyologia rozwiązuje zagadnienia

*) Nam się zdaje, że tu także i to w pierwszym rzędzie należałoby postawić Morgana. *Red.*

te na tle ściśle umiejętnem, uważając dzieje ludzkości jako nieustannie odnawiający się proces naturalny, odbywający się według jednych i tych samych stałych, odwiecznych praw, nie dający się podciągnąć pod żadne inne wyższe cele ostateczne, jeno pod bezwzględne działanie przyczynowości. Z tego punktu widzenia niepodobna dziejom ludzkim przyznać innego postępu, jak tylko ten, który leży w peryodycznie odnawiającym się rozwoju pojedynczych społecznych organizacyj; ani też przyjąć inną sprawiedliwość historyczną, jak tylko odpowiedniość skutków do przyczyn.

Oto są główne myśli, które starałem się przeprowadzić i uzasadnić w wydanej świeżo w Wiedniu książce *Grundriss der Sociologie*.

L. Gumplowicz.

LISTY Z. KRASIŃSKIEGO

(do Stanisława Małachowskiego).

Noc poprzedzająca wschód nowych słońc bywa nieraz strasznie czarną. W epoce takiego ponurego przedświtu żył i pisał autor *Nieboskiej*. Czasy 1848 r.—to koniec dawnych a wstęp do nowych, rodzących się idej. Skon zaś i poród—dwa te najokropniejsze bóle ludzkości—wyciskają na twarzy poety piętno cierpienia i nieszczęścia. W epoce rewolucyj, w wieku olbrzymich zapasów między życiem a śmiercią, między przeszłością, a przyszłością, zachodzą i w sercu jednostki, gdzie się styka świat umysłowy stary z nowym, podobne walki i przełomy. Zresztą przejście każde musi być rodzicem pewnych potworności. W naturze gatunki łączące rodzaj poprzedni z następnym przebierają dziwaczne kształty: pół rośliny, pół zwierzęta. I rewolucye rodzą potworności w porządku społecznym. W takiej przejściowej epoce gnieżdżą się dziwy w rozumie i sercu poety, a prawda dziki kształt przyoblecka.

Czasy to ponure i pełne grozy. Na wszystkie strony drżał i chwiał się świat. „Jedni jak waryaty, drudzy trupami, inni do złoczyńców podobni.“ Wszędzie rozstrój, rozprzężenie i konwulsyjne drgania. Taka atmosfera wytwarza chorych, spaczonych na ciele i duszy. Ciągłe oczekiwanie niszczyło najzdrowszych, a gdy nadeszła chwila wyzwolenia, ci, którzy długo siedzieli w więzieniu ciemnem, światła już znieść nie mogli Takie długoletnie oczekiwanie, a potem ciemnotę i śmierć przez wyzwolenie przebolał w duszy autor *Irydiona*.

Aż straszno zajrzeć do głębi tej zranionej duszy, przełamanej na dwoje, pękniętej i porysowanej, jak zwierciadło, od góry do dołu. Trudno dziś szukać, czyja ręka zadała tę ranę w jego sercu, czyja owę a czyja jeszcze inną—złożyły się na nie i natura schorzała i społeczeństwo rozstrojone, winy własne i obce, a potem fałszywe położenie... Któż zmierzy i wytłomaczy te wszystkie nie zabliźnione rany—dość, że są, i krwawią się, i ropią. Naturalnie bywają chwile szczęścia, w których poeta odurzał się blichtrem otoczenia, i wznosił na skrzydłach poezyi, ale rdzeń jego zbolałej duszy ciągle toczy robak smutku.

Sam porównywa się w listach do tego węża (symbolu wieczności), co na siebie zawrócony, żre się sam bezprzestannie. Zwykle ludzie wewnętrznie nieszczęśliwi szukają roztargnienia w życiu, w czynie lub rozrywce, zewnętrznie nieszczęśliwi mają w domu pociechę—on nigdzie nie znalazł spokoju. Zewnętrzne cierpienia, wewnątrz rozpacz. „Gdzie tylko spojrzę, jak tylko pomyślę, wszędzie nieszczęście, wszystko mnie rozgryza, zagryza, wgryza się we mnie.“ Nareszcie wpadł w czarną melancholię, w bezwładność umysłu i rozpacz serca, w odrazę ku ludziom a zwątpienie zupełne o sobie. Zrazu odganiał się od tych mrocznych myśli, „pluł im w oczy,“ nie mniej nadchodziły, jak napady epilepsyi. Raz schwyciwszy w swe szpony schorzałego poetę, trzymały go silnie. „Melancholia—skarży się swemu przyjacielowi—równie woli nie słucha, jak brak nogi lub ręki uciętej; władaj ręką uciętą, władaj nerwem fałszywo odbijającym twe myśli w mózgu.“ Nic go nie mogło wyrwać z objęć tej okropnej zmory—każde wstrząśnienie spadało nań jak piorun, na nowo uderzeniem rozpalający przepalone już zgliszcza. W takim stanie uciekał od ludzi. „Widok wielu ludzi nagromadzonych razem wprawia mię w rozdrażń szaloną—wszelka dyskusya, wszelka rozmowa zabijają mię—chciałbym jamy, nory, jaskini wiecznie ciemnej. Czuję się jak zwierzem dzikiem, chciałbym uciec, uciec, nie wiem gdzie, a chcąc tak uciec, nie ruszam się ze stołka i z pokoju nie wychodzę.“

Melancholik patrzy na wszystko przez czarne okulary, świat w jego oczach—to wieczny pogrzeb, życie ludzkie „grabarzem,“ każde społeczeństwo, w którem się obraca, grobową cuchnie stęchlizną. „Kiedy chcesz—powiada—wiedzieć dzieje obecne Rzymu, czytaj Tacyta: wszystkie podłości, zdrady, fałsze, wiarołomstwa jego czasów odnajdziesz tu teraz, czy w jednych, czy w drugich.“ Tak samo jak Rzym przedstawia się poecie Warszawa. Tu—powiada—kwas tylko, smutek tylko, podłość tylko, śmierć wiekuista tylko—wszystko tu grobowem, wszyscy trupieją“—wszystko, okryte kirem czarnej melancholii poety, który w oderwaniu od świata, w ciągłych zatopiony rozmyślaniach stracił do reszty wzrok do pojęcia najprostszych objawów życia.

Przez te ciemne okulary patrzył na społeczeństwo, które szukając nowych dróg, nieraz błądziło... Arystokrata z rodu, z nawyknień i z przekonania ocenia dążenia demokratyczne jednostronnie i fałszywie. Pod wpływem smutnych wypadków 1848 r. rzuca kamieniem na lud, na demokratów, na cały ruch. „O mieli co opiewać poznańscy poeci, mieli co wynosić pod obłoki, cnoty ludowe, świętość ludową, poczciwość ludową, sprawiedliwość ludową, zapał ludowy do wielkich rzeczy, sens niezawodny ludowy; taki niezawodny jak papieża! Chcieć dla tego, że jest obowiązkiem zwierzę przeprowadzić do stanowiska ludzkiego, chcieć, mówię, już to zwierzę mieć za człowieka, jest szaleństwem bez nazwy.“ „Na ziemskim świecie z bydląt nie sposób otworzyć Królestwa Bożego, i kto marzy o niem jako nie o celu, ale o rzeczywistości na jutro gotowej, ten tylko dochodzi do Królestwa szatańskiego.“ Z obawy, aby rząd, albo socyaliści pobratawszy się z ludem nie wytępili szlachty, chciał ubiedz nieprzyjaciół i chłopów usamowolnić—nie może się zrzec wpływu politycznego—ale dla zwiedzionego przez bezecny rząd austryacki ludu, nie ma żadnego innego środka, jak—szubienica.— „Wieszanie chłopów w Galicyi będzie dla ludu kazaniem wymowniejszem niż wszelki głos...“ Dla demokracyi i demagogii ma tylko słowa pogardy i oburzenia. Gdyby mu kazano wybierać między tyranią a demokracyą, wybrałby pierwszą. Lepszy Kaligula lub Neron od tego „wulkanu,“ bo Kaligula wyrżnie tylko część ludności, a wybuch wulkaniczny zasypie miasto na wieki. Dla tego „lepszy czarny jak dyabeł Kaligula, niż Wezuwiusz czysty jak anioł.“ Podobnie rzecz się ma z rozpasanym ludem czerwonym, a reakcyą uorganizowaną, mądrą i oświeconą: bo lud należy jeszcze do ślepych i fatalnych potęg natury, jak wulkan lub ocean! Przeważną część winy ludu zwala na jego „menerów.“ „Lud właśnie dla tego, że nieoświecony takiem strasznem jest narzędziem w ręku tych oświeconych, szkarłatnych, bo nim rządzą, jak elektrycznymi prądy, i puszczają go w świat jak lawę, a na to, by lud się ten rozjudził i rozzwierzęcił i do mordu doszedł; kłamią mu, pychę w nim rozbudzają, sami cichaczem nim gardząc i kpiąc zeń, bo im, tym oświeconym tym menerom, chodzi o władzę i przemoc i gwałt.“ Demokraci są zdaniem jego niebezpieczniejsi i gorsi od oligarchów, bo ci nie wprowadzą nazad tyranii, choćby pragnęli tego całem sercem, pierwsi zaś w tym radykalizmie doprowadzą do barbarzyństwa, do rozwiązania społeczeństwa. Szlachta żywi w swojem sercu teoryą o wzniosłem, powolnem, stopniowem podnoszeniu ludu, demokracya zaś „poddaje piekielnie zasady odzwierzęcenia zwierząt przez najstraszniejsze rozpasanie zwierzęcych ich chuci.“ Demokracya na krwi szlacheckiej zaprawiwszy się i rozbestwiwszy, ma tylko jeden cel: wyrżnąć szlachtę; w kodeksie jej tylko: pożogi, gwałcenie kobiet, kradzież, łup dzieci i mordy. Wogóle demokracya jest najśmiertelniejszym wrogiem Polski, bo jest pierwiastkiem rozdziału, rozbioru, niszczenia, a my potrzebujemy spójni, zgody, skupienia.

Rewolucya 1848 r. to „piekielny zawrot mózgowy, zaraza umysłowa z pychy i grzechów wielu rodem.“ „My, polacy, jak dzieci spartańskie, powinnibyśmy patrzeć na europejskich wichrzycieli jak na pijanych ilotów, i zbrzydzić sobie anarchię! A wtedy na ruinach świata odnaleźlibyśmy się jedynym zacnym narodem i wtedy wszystkie potęgi piekielne, czy te, czy owe, przełamali. Zresztą przyszłość pokaże, kto z nas się mylił!“ Niestety omylił się grubo poeta! Pod świeżem wrażeniem powstania genueńskiego pisze do Małachowskiego. „Jeżeli nie przesadą opisy z Hermansztadu, toć wróciły dni Gengiskanowych wojen. Wojny wojsk regularnych należą do cywilizacyi, wojny zaś prowadzone przez same plemiona należą do barbarzyństwa. Takim sposobem Europa zawróci do wieku piątego i szóstego jak najłatwiej! Nadziei nie słyszę w duchu, nie widzę przed oczyma. Rozstrój na wszystkie strony, czy od jednych, czy od drugich, zawszeż rozstrój tylko i niedołężność, to jest okrucieństwo i gwałt, które są największemi oznakami niedołężności w naturze ludzkiej. Istotna potęga ich nie potrzebuje! Raz, gdy plemiona wstąpią na taką drogę, prędko się po niej stoczą do otchłani i ciemności! Wrzask i krzyk i teorye i frazesa to nie Idea, w słowach same pyszne okresy, a gdy do czynu przyjdzie zwierzęcość, rozpasanie, żadnej miary ni piękna ni dobra! Jeszcze w cztery lata po rewolucyi 24 lutego pluje w oczy „anarchistom,“ skarżąc się, że tak nikczemnie i bezecnie, niezgodą, rozterkami i wszelkiego rodzaju obłędami zawiedli ludzkość aż nad sam brzeg przepaści, tam, gdzie już innej rady nie było, jak kark poddać pod jarzmo, nie chcąc go mieć ściętym przez gilotynę. Koszut, Mazzini, Garibaldi i wszyscy trybuni ludu to—Herostraty, Werresy, tyrani. „Koszut jest terrorystą i cała jego fakcya i co więcej charakter cały ludu węgierskiego: przecież każdego słowianina do niewoli wziętego rozstrzeliwają; wpływ Kossutowy u nas wszędzie się sprzęgał i zlewał z wpływem obłąkanych jednych, a niegodziwych drugich.“ Zalicza go do „menerów,“ demagogów oświeconych, ale niepoczciwych, i nazywa krzykałą, fanfaronem, bestyą, terorystą z natchnienia i potrzeby źle pojętej, a w końcu i z natury „bo są ludzie, co się rodzą tygrysami, szczującymi masy.“ Przeciwstawia mu umiarkowanego Jellachicha, jako niedościgniony wzór obywatela.

„Trzech znam zdobywców i ciemiężycieli Włoch: Radecki, Mazzini i Garibaldi.“ Lecz ci dwaj ostatni czerwoni dyabli sto razy gorsi od czarnego dyabła. „Wierz mi—

powiada do Małachowskiego—narody gorzej giną przez Garibaldich, niż przez Radeckich, bo Radeccy tylko ciała ich ranią, Garibaldzi i Mazziniowie—duszę, zmysły odejmując i do samobójstwa doprowadzając.“ I znowu: „Mazzini i Spółka zgubili Italię. Tacy jak Mazzini zgubili wszystko, bo pragnęli Rzeczypospolitej daleko goręcej niż Ojczyzny.“ Naszych republikanów uważa za podłych oszustów i zdrajców. Mierosławski, to młody szaleniec, szarlatan, „fraześnik;“ w Libelcie widzi „większego lisa i bobra, niż w Rollinie, lecz ten sam zamach, by stać się tyranem ojczyzny.“ Wszystko co ma styczność z ludem, jest nędzne, przedajne... „*Trybuna ludów* się okazała—pisze do Małachowskiego 1849 r.—najnędzniej redagowaną gazetą, jakąm widział, dość ci powiedzieć, że Jules Vecourt formę jej obrabia, a treść Chojecki! Rogier w tych dniach temu ostatniemu zarzucał, że się podjął takiej pracy, odpowiedział miły gagatek na to: „Wiem, że się na nic nie zda, wiem, żem anarchią tylko, lecz cóż chcesz, a z czegóż będę żył? Muszę żyć.“

„Oto masz zmysł moralny w podobnych sercach i umysłach, nawet nie fanatyzm żaden, tylko zarobek. Maczać pióro w przyszłych morderstw krwi na to, by obiad jeść w *Caffé anglais* i rękawiczki białe mieć na wizyty. Takich ludzi roje, z nich przyjdzie nierozgmatwalność stosunków epoki i w podrzutach strasznych tejże epoki zgon.“ Sąd ten pełen goryczy i rozpaczy tłomaczy się głównie czarną melancholią poety. „Czasem z melancholii dograniczam się fiksacyi—pisze w tym samym liście. To gniję to szaleję w gorączce ale gorzkiej.“ Tych samych jaskrawych barw używa do odmalowania demokracyi emigracyjnej, „Wersalczyków zaprzęgniętych w małpiarstwie doktryn francuskich.“ „Jeśli się teraz—pisze to w 1846 r.— Wersal nie przekona, że głupi i zbrodniczo głupi, to zgubion na wieki wieków, jedyne jego ocalenie z pokorą poddać się księcia (Czartoryskiego) władzy, jako zcśrodkowaniu porządnemu dążeń narodowych.“ A gdy „demagogowie“ nie chcą tego uczynić, daje gardło za to, że w tym obozie są płatni krzykacze, zdrajcy pobierający pensye... Podły rząd austryacki z r. 1846, uzbrajający chłopów w noże, i nasza centralizacya stoją u niego na równi; obu uważa za wrogów ludzkości i wszelkiej czci poczciwej, za dyabłów, z których jeden kłamie gdy wrzeszczy: „porządek“ a drugi, gdy wrzeszczy: „wolność“ oba zmierzają tylko „do tyranii i zadowolenia chuci zwierzęcych.“

Tak się zapatrywał na ruch współczesny rozgoryczony autor *Nieboskiej*, któremu, podobnie jak wszystkim naszym „wieszczom,“ prorokującym przyszłość, nie stawało zmysłu do zrozumienia najgłówniejszych wypadków współczesnych.

Pozwólcie jeszcze słówko o wydawnictwie samem; obejmuje on listy Krasińskiego do przyjaciela zwanego na emigracyi „podskarbim Rzeczypospolitej...“ od r. 1839 aż do 14 grudnia 1856 r. Korespondencya ta daje, z wyjątkiem poglądów poety na wypadki współczesne, bardzo mało, prawie nic nowego—tak dziwnie jednostajne są listy Krasińskiego. Dwa tomy wydania lwowskiego, o których mówiliśmy dawniej, są tak podobne do tego trzeciego, że gdyby nie okładki, mógłby je zamieniać nawet specyalista. Wydanie, jak tamte, liche, nie umiejętne. Spuścizna po naszych największych poetach dostaje się zawsze w najgorsze ręce—z wielkiego pietyzmu.

B.

TEATR.

Dyoniza, sztuka w 5 aktach Aleksandra Dumasa (syna). — Józef Rychter.

Znowu ta sama historya—kobieta upada przez słabość dla uwodziciela, staje się celem uczciwych zabiegów szlachetnego człowieka, dawny błąd wychodzi na jaw—wtedy Dumas stawia dylemmat: czy taką kobietę odtrącić, czy się z nią ożenić; i rozgrzesza ją z błędu, wprowadzając do rodzinnego ogniska. Jedna i ta sama piosenka, której waryantem były *Pojęcia pani Aubray* i *Pan Alfons*. Jest ona znowu odmianą cudzołóstwa po za którem Dumas nie pojmuje dramatu... W *Dyonizie* jeszcze jest pobłażliwszym dla kobiety błądzącej, aniżeli w *Pojęciach pani Aubray*, gdzie nagromadził wyjątkowe okoliczności, dla sprowadzenia jej winy do minimum. Tam był gwałt, podstęp nikczemny, nieświadomość — tu tylko słabość szlachetnej, nierozważnie kochającej kobiety, która uległa przewrotnym a namiętnym prośbom kochanka. Dumas po raz trzeci ją rozgrzesza, stawiając naprzeciw starej, surowej i bezwzględnej etyce zasadę przebaczenia dla chwilowo zbłąkanej, która podnosi się moralnie, nie upada w kał bezwstydu. Zasada najzupełniej słuszna, nader często wcielana w praktyce, wtedy nawet, gdy kobieta nie zasługuje, aby ją wyciągnąć z kałuży, do której ją wpędziły niskie instynkta. Chyba żaden człowiek, którego umysł stoi na wysokości dzisiejszego wieku, nie będzie głosował za ukamienowaniem kobiety, która uległa potędze budzących się w niej instynktów twórczej natury. To prawda, ale nie powód, aby bezustannie na ten temat filozofować, aby zrobić tę kwestyę alfą i omegą sztuki. Kołowacizna jednak Dumasa, co na szóstem przykazaniu oparł nawet rodzaj mistycznej a bezsensownej filozofii, jest nowym dowodem wyczerpania się współczesnego francuskiego dramatu, który potrzebuje świeżych soków, aby odżyć i zakwitnąć na nowo. Swoją drogą *Dyoniza* pod względem scenicznym jest utworem świetnym, noszącym piętno wielkiego talentu. Jaka to pewność i sztuka w skupieniu całej dramatycznej akcyi pomiędzy śniadaniem i obiadem. Zapewne mimowolnie, Dumas zachował tu klasyczne reguły o jedności miejsca i czasu — a jednak w tych ramach umiał skupić i rozwinąć cały dramat, pełen epizodów, wzbogacić i poprzeć akcyę mnóstwem doskonale pomyślanych i wykończonych szczegółów drugo i trzecio-planowych, naszkicować kilka postaci subtelnie i wiernie, rzucić obfite garście świetnych niekiedy paradoksów a wreszcie wyrzeźbić dyalog całości po mistrzowsku. Jakże subtelnie splątał Dumas całą tkaninę uczuć, jakże widocznie ukazał rozmaite delikatne nici i odcienia, łączące ze sobą wszystkie osoby dramatu. Tak jak w życiu wszystko się ze sobą wikła, jedne wypadki zazębiają się o drugie, mało znaczne powody wywołują często bardzo ważne skutki, teraźniejszość łączy się z przeszłością niewidzialnymi węzłami — tak samo dzieje się w misternej tkance tego dramatu, wykonanej dłonią mistrza. Z jaką subtelnością przeprowadzona tu miłość hr. de Bardanes do Dyonizy, córki starego wojaka Brissot'a, dzielnego człowieka, wyznającego jednak zasady surowej, przedpotopowej moralności. Ten motyw plącze się nader zręcznie z drugą intrygą, prowadzoną przez panią Thauzette, doletnią wdówką, pustą, żwawą i przewrotną, która niegdyś uszczęśliwiała swymi względami młodego hrabiego; sprytna ta kobieta chce jego siostrę, hrabiankę de Bardanes wydać za swego syna Ferdynanda, który niegdyś był narzeczonym Dyonizy i nadużył jej zaufania. Biedna została matką i w milczeniu swój wstyd ukryła... Hrabia ją pokochał głęboko — Dyoniza odpłaca mu wzajemnością. Dwie dusze ciążą ku sobie mocą nieprzepartą — ale Dyoniza odpowiada — „nie“ na jego szlachetne propozycye, ponieważ „należy do tych, które kochają, ale z któremi się nie żenią.“ Ratując siostrę hrabiego od związku z p. de Thauzette, wyznaje swą bolesną tajemnicę. Wybucha z tego dramat — stary Brissot mści się za hańbę córki i żąda od p. de Thauzette, aby się z nią ożenił. Namiętności i przesądy mają już wstrętnemi kajdanami skuć uwodziciela z ofiarą, stworzyć związek ludzi, którzy skłamią sobie miłość, spętać dwa charaktery niedobrane. Wtedy odzywa się głos zdrowego rozsądku przez usta przyjaciela hrabiego, p. de Thouvenin, przez którego Dumas wygłasza swą teoryę przebaczenia. Pomimo oporu głos serca zwycięża i młody hrabia rzuca się w objęcia Dyonizy, nie zważając na plamę jej przeszłości.

Dramat ten, szczególniej w trzecim i czwartym akcie przeprowadzony jest z mistrzowskiem stopniowaniem efektów, z wielką umiejętnością działania na wyobraźnię słuchaczów. Sztuka budzi rosnące wciąż zajęcie, pomimo przewidzianego z góry rozwiązania, denerwuje i wzrusza. Są tu pewne nielogiczności w szczegółach, sytuacye naciągane i drobne błędy, nieuniknione przy wtłaczaniu podobnego przedmiotu w ramy sceniczne. W kreśleniu postaci znać po części dobre studya z natury, po części wrodzoną Dumasowi umiejętność wyzyskania subtelności psychicznych. Dyoniza, hrabia i Thouvenin nęcą sympatycznymi rysami, pani de Thouzette, jej syn a zwłaszcza hrabianka są to świetnie rysowane postacie. Parę epizodycznych figur ma także wybitne rysy. Słowem, sztuka Dumasa pod względem zasady i pomysłu nie przynosi nic nowego, ale mimo to jest jednym z najświetniejszych produktów współczesnego dramatu, pod względem artystycznym i scenicznym, zalecając się nadto niezmiernie wytwornem traktowaniem sytuacyj drażliwych...

W wykonaniu przez naszych artystów sprawiła ona silne wrażenie. Palma pierwszeństwa należy się pannie Marcello, za śliczną, szczerze odczutą, powściągliwą, prostą a wysoce artystyczną grę w głównej roli. To nie była właściwie gra, ale odtworzenie zupełne, przenikające do głębi duszy. Gdyby panna Marcello chciała swój talent i studya zwrócić także w dziedzinę wyższego dramatu i tragedyi, jakżeż świetne zajęłaby stanowisko w naszej sztuce aktorskiej! Bardzo dobrze przedstawiła p. Ludowa postać światowej wdówki, wycieniowała jej spryt, wesołość, tylko z początku przydałoby się więcej żywości tej francuskiej kokietce. Bardzo dobrą hrabianką była panna Czaki, cieniująca starannie i subtelnie postać skwaszonej i zcierpłej w wychowaniu klasztornem panny. Sympatycznym hrabią był p. Tatarkiewicz, który miał ciężkie zadanie ożywienia, zresztą dość ogólnikowej, postaci — grał estetycznie i skończenie. Wśród męskich ról wyróżniła się z wielką werwą i swobodą stworzona postać p. Thouvenin'a, za którą p. Leszczyński zasłużył na gorący oklask. P. Rapacki bardzo szlachetnie, lubo niedość krewko grał Brissot'a, pani Rakiewiczowa przedstawiła się jako bardzo pożądany na scenie typ szlachetnej matki. P. Ostrowski i p. Waliszewski dobrze oddali figury epizodyczne. Urządzenie sceny było wytworne i eleganckie, tak, że recenzenci, sądzący wedle meiningeńskich szematów, dali jednomyślnie *piątkę* reżyseryi.

Dzisiejszą kronikę zamknąć mi wypada żałobną klamrą. Jeden z najznakomitszych aktorów polskich, Józef Rychter, po czterdziesto kilkoletnich trudach spoczął w mo-

gile. Talent jego składał się z wielorakich czynników—rozwijając się najświetniej w kierunku charakterystycznym. Rychter przedewszystkiem był świetnym przedstawicielem typów Fredrowskich, przejmując tradycyę pierwszych twórców tych figur. Chociaż nie miał okazałego wzrostu ani postaci, doskonale jednak grał rolę Cześnika w *Zemście*, z wielką brawurą, energią i odczuciem staropolskiej fantazyi. Niezrównanie odtwarzał sympatycznych starców, wujaszków, stryjaszków, starych emerytów, bakałarzy, zwłaszcza okraszonych dobrodusznym humorem. Jego jowialność godną była berangerowskiej „bonhomie"—a przytem na wskroś swojska, pogodna i serdeczna. Ślicznie także grał rolę szlachetnych ale gwałtownych starców. Rwał się Rychter do dramatu ale w tym kierunku usiłowania jego nie były tak świetne. Brakło mu odpowiednich warunków fizycznych, brakło siły głosu, a ekspresya uczuć zbyt przesadna i gorączkowa nie była właściwą wobec wymagań nowszej szkoły. Dramat mieszczański i wysoka charakterystyczna komedya były sferą, w której Rychter doszedł do mistrzowstwa. Ostatnie kilkanaście lat zawodu spędzał on na różnych scenach polskich—a głównie w Krakowie, pod koniec dość smutnie, musiał się tułać od sceny do sceny, a talent jego stracił cokolwiek na dawnym blasku, chociaż miał jeszcze żywotną siłę i świetne porywy. Będąc kierownikiem sceny w Krakowie, Rychter grywał nawet takie role jak Wallensteina, Kordeckiego, Iwana Groźnego (w trag. Tołstoja), w którym jego aspiracye dramatyczne najlepszym uwieńczyły się skutkiem. Arcydziełami gry jego z tej doby były znane i na naszej scenie kreacye Molierowskie: Skąpiec i Arnulf ze „Szkoły kobiet"—w których dosadna maniera doskonale nadała się do archaistycznego odtworzenia tych świetnych typów. Gra Rychtera była zawsze żywą, często gorączkowo odczutą, wykończoną niezwykle starannie, dosadną, wyrazistą, czasem nawet jaskrawą, wobec nowszych wymagań. Nie był on nigdy zupełnym realistą, ale starał się o spotęgowanie kolorytu i tonu grywanych postaci, i był przedstawicielem tak zwanej *starej wielkiej szkoły*, która dziś ustępuje estetycznej naturalności, stylizowanej jednak i nie będącej czystym realizmem. Szkoła ta uważana przez niektórych recenzentów za *alfę i omegę* doskonałości, miała istotnie swe świetne strony, ale przeżyła się głównie pod względem wyciągania dosadnej ekspresyi, ustępując powściągliwemu traktowaniu ról, i tonowaniu całości, które w grze słabszych aktorów zamienia się często na zbytnią szarość i bezbarwność. Rychter nie szedł z rozwojem sztuki, był zawsze wyznawcą dawnego kierunku, wyrzekał na upadek aktorskiego zawodu, lubił zawsze wirtuozowskie popisy solowe. Dla tego też jego talent ujawniał się najlepiej w sztukach starych, Fredrowskich i Molierowskich—chociaż i w nowszych stworzył na naszej scenie kilka dobrych postaci episyerów francuskich. W każdym razie był artystą pierwszorzędnym i dosyć różnostronnym—nie powtarzał formułek rutynicznych, ale stworzył dość obfity szereg postaci dosadnych i typowych, a niektóre grał z niedoścignioną werwą i wykończeniem. Ostatnimi czasy publiczność nasza zapomniała trochę o zasługach scenicznych Rychtera, który ukazywał się tylko przelotnie na deskach sceny warszawskiej. Było to w znacznej części wynikiem naszej zmienności gustów, gdyż w kilku rolach artysta robił jeszcze duże wrażenie. Pamiętam, jak słuchając ostatni raz Cześnika, zasmuciłem się w duszy że nasza wylizana filisterya nie odczuwa już staropolskiego rytmu tej gry dziarskiej a typowej. Do dziś dnia żywo mi stoi w oczach szereg doskonale stworzonych postaci przez tego artystę, który całe życie rwał się do wyżyn sztuki, był bardzo często zwycięzcą w pogoni za sławą, i należał do zasłużonych patryarchów sceny naszej.

S. K.

LIBERUM VETO.

Dalszy ciąg wystawowego ogona. — Przeciwprotest i jego niesłuszne odznaczenie. — Język polski w handlu. — Nasze prawa wobec cudzoziemców. — Prorok na puszczy. — Strachy na niemców. — Uczta dla badaczów jezior Liba. — Przemiana *Świtu*. — Droga praktyczna. — Józef Rychter.

Ogon wystawy, o którym wspomniałem poprzednio — protesty i przeciwprotesty— zaczyna się wydłużać. Na artykuł *Kuryera warsz.*, będący odgłosem niezadowolonych, odpowiedział ktoś w *Gazecie polsk.* a odparował cios dwoma uderzeniami: 1) „nie godzi się — *nota bene* przed ogłoszeniem *oficyalnej motywowanej* listy nagrodzonych—*ferować* na podstawach niewytrzymujących (?) *krytyki argumentów* i plotek takiego wyroku" i 2) „każdy wystawca, niezadowolony ze składu sędziów, może przed ich zejściem (?) ogłosić się po za konkursem." A więc wstrzymajmy się z „ferowaniem" wyroku aż do ogłoszenia „oficyalnej motywowanej" listy. Chociażby ona wszakże dowiodła boskiej sprawiedliwości w rozdzieleniu nagród, nie ocali odznaczenia, jakie otrzymał — ów artykuł w *Gazecie polskiej*. Bo właśnie ukazał on się światu wtedy, kiedy zaszły następujące wypadki:

Jakiś kupiec warszawski uwiadomił firmę *angielską*, że w dalszych stosunkach będzie porozumiewał się z nią tylko po polsku, na co ona odpisała mu w tymże języku i warunek przyjęła. Inny znowu fabrykant tutejszy przez pomyłkę posłał obstalunek polski do dostawcy niemieckiego, który go za to upomniał i oświadczył, że nadwiślańskiej „gwary" czytać nie myśli. Obrażony nasz ziomek — jak donosi *Kuryer codzienny* — postanowił „całą korespondencyę handlową z zagranicą prowadzić w języku krajowym, przyjmując jednak odpowiedzi niemieckie." Nie zgodził się na to tylko pewien drezdeńczyk — inni poświęcili filologię i politykę handlowi.

Jeżeli cały ten bunt jest prawdziwym, jeżeli w naszym świecie kupieckim znaleźli się energiczni obywatele, którzy mieli odwagę zrzucić jarzmo niemczyzny i wprowadzić na jej miejsce „narzecze polskie" w stosunkach z zagranicą, to wspomniany artykuł *Gazety polskiej* nie powinien być w niej drukowanym. Bo nuż on dojdzie do rąk anglików i niemców, którzy przystali na listowanie polskie! Niewątpliwie nadeślą oni wtedy do Warszawy okólnik tej treści:

„Mamy zaszczyt odwołać naszą poprzednią zgodę i powrócić do dawnego sposobu korespondencyi; bo jeśli polak w miejscowej gazecie pisze: *nota bene*, *ferować*, *oficyalny*, *motywowany*, *krytyka*, *argumenty* — w jednem zdaniu, jeżeli więc potrzeba używania czystej mowy polskiej na miejscu jest uczuwana tak słabo, to trudno, ażeby ona uznaną być mogła w Berlinie lub Londynie. Nadto winniśmy zauważyć, że język nowo-polski, który zdaje się być obecnie powszechnym w Warszawie, mimo całej naszej niechęci politycznej, sprawiałby nam zbyt wielką przykrość swoimi dziwolągami. Czytamy bowiem we wspomnianym artykule: „Tak samo, jak biorący *się* u nas do przemysłu, uważając *się* w znacznej części za poświęcających *się* dla dobra kraju, pragną, ażeby zostali wynagrodzeni za to poświęcenie szybkiem dorobieniem *się* fortuny i nie zadawalają *się*" itd. Skazać nas na łykanie tylu *się*— nie mielibyście panowie serca, a my przyjąć tej męczarni—nie mielibyśmy odwagi. Pisujcie przeto w tym języku, który prawdopodobnie lepiej znacie — w niemieckim."

Jakiekolwiek tedy pobudki kierowały *Gazetą polską*, przyznać trzeba, że ona artykuł w obronie sędziów wystawowych odznaczyła niesłusznie. Powinien on był pójść do kosza w chwili, w której kupcy warszawscy domagają się od zagranicznych prowadzenia korespondencyi po polsku. I wogóle, zmuszając cudzoziemców do równouprawnienia naszej mowy z innemi w handlu, nie wypierajmy jej u siebie z literatury i nie zamieniajmy na istotną „gwarę" nadwiślańską, która jest wprost niechlujstwem lub rozpustą języka. Wydrwiwamy cudaczne szyldy i skwapliwie zbieramy „znakologię" (sam ten wyraz nie lepszy od wyśmianego *fhut*, zam. wchód), a jednocześnie w dziennikach i książkach szerzymy równe jej paskudztwa. Od czasu do czasu ktoś je napiętnuje, ale te kazania odbijają się od głuchych uszu i znarowionych umysłów bez skutku. Bolesna to głuchota, ale trudno! Chcemy gnić w organie najważniejszym, najbardziej zagrożonym, i gnijemy.

Zjawili się także inni prorocy na puszczy. Oglądałem własnemi oczami człowieka, który ślubował sobie:

— Prędzej kogo okradnę, niż kupię cokolwiek u niemca.

Wchodząc do sklepu, czyta on uważnie nade drzwiami nazwisko właściciela, a dostrzegłszy ziomka tych, którzy z „niemieckiego kraju" wygnali 30,000 „obcych przybyszów," cofa się ze wstrętem. Głosi on swoją ewangelię wszystkim i niezmiernie rad, że zewsząd słyszy zapewnienia:

— Ani za grosz u niemca! Mój Boże, gdyby tak wszyscy zrobili, pomścilibyśmy krzywdę i wtedy może by nas ci kartoflarze zaczęli szanować.

Szanowny sprawca odwetu na niemcach zaręczał mi, że on sam zyskał tysiące zwolenników dla swej zasady; inni zapewnie szczycą się równą liczbą, a „kartoflarzo" jak śmieli się, tak śmieją.

— To by nas istotnie zrujnowało — mówił jeden z nich — ale kto waszym przyrzeczeniom wierzy? Gdyby mi polak przysiągł, że jutro będzie miał dziesięć palców u rąk, przypuszczałbym, że chce sobie ze cztery obciąć. Wy w gadaniu—stal, ale w robocie—woda. Gdy krzykniecie: kochajmy się!—można być pewnym, że niedługo weźmiecie się za łby. Gdy powiecie: nie kupimy nic u niemców—wyglądacie jak dzieci, które uroczyście zapewniają, że nigdy nie dadzą mamie buzi. Wy możecie wiele dokonać nałogiem lub chwilowym zapałem, ale wytrwałem postanowieniem — nic. Wasze więc pogróżki są czcze i poważnie ich brać nie należy.

Za rok — co mówię? — za parę miesięcy—eh!—za parę tygodni przekonamy się, kto tu miał słuszność.

. . . .

...*Świt* w odezwie swojej głosi, że „dotąd *stał* na drodze teoretycznej, od dziś (23 czerwca) wejdzie na drogę praktyczną." Mówiąc bez przenośni, wydawca, nienawykły do ponoszenia strat, zamierza dodać pismu znanych i wypróbowanych przez niego „lubczyków," ażeby przynosiło dochód — co zresztą jest bardzo naturalnem. Nie sądzą wszakże, ażeby już nr. 25 *Świtu* był pierwszym krokiem na „drodze praktycznej." Naprzód niepraktycznem jest zniżanie wartości politycznych tryumfów „pierwszej polskiej wyprawy do Afryki," powtóre — kto puszcza w liście Maryi Raczyńskiej taki ustęp? Szykowne panie „są owocem zatrutych, tropikalnych sfer, wykwitem nie wiosny, lecz zgniłych fermentacyj natury. U nich, jak u tych orchidei, które żyć mogą tylko w sztucznej

i dusznej atmosferze, z korzeniami rosnącymi na wierzchu i opartymi o suchy pręt bez utknięcia w ziemię, korzenie serca rosną na zewnątrz, żywią się nie sokami rodzinnych uczuć i obowiązków, lecz miazmatami zatrutej cieplarni wielkiego świata zagranicznego, w otoczeniu płaskich pasorzytów.“ Takie odszczepieństwa drukować w piśmie kobiecem — modnem! Czy p. Konopnicka nie pamięta tego poważnego sporu, jaki niedawno toczyły dwadzienniki o „toalety wyścigowe“ i jakie oburzenie wywołała wzmianka jednego z nich, że suknie nie były dość szykowne, a nawet— Boże!—zeszłoroczne? (Częściowy ich wykaz znaleźć można w lombardach prywatnych).

. . . .

Po gorączkowem, niespokojnem i tułaczem życiu legł w grobie sławny niegdyś, a w ostatnich latach zapomniany aktor Józef Rychter. Do pewnego stopnia sam był kowalem swego losu — ale kuli mu ten los i inni. Zmarł przegrawszy resztki swych nadziei, któremi czepiał się ustawicznie sceny warszawskiej, kiedyś matki a później macochy.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Na przyjęcie cholery.— Brudy Łodzi. — Żydzi ukryci w wystawie radomskiej. — Gniewy prasy prowincyonalnej. — Projekty. — Kontrabanda.

Tak, wyznaję: niezależny spekulant... bodaj cię! — publicysta ma racyę — prasa nasza jest na wskróś zżydowiona. Bo oto cholera grasuje w Hiszpanii, z którą przecie, dzięki p. Lewenbergowi mamy bezpośrednie stosunki, i lada dzień zawitać może do nas, wszystkie zaś pisma półgębkiem tylko przebąkują o epidemii, podobnie jak przesądni izraelici, którzy mówią tylko o „paskudnej“ albo „rządowej chorobie.“ Ta ostatnia nazwa nie jest bynajmniej objawem zakazanej ironii, ale oznacza po prostu, że podczas cholery władza zarządza przymusowe środki sanitarne. Dotychczas bowiem każda wojna uczyła nas geografii (co prawda nieszczególnie) a każda epidemia—porządku (jeszcze mniej). Tymczasem ani tradycyjnego „proszku,“ ani pomazanych dziegciem mostków, ani innych środków ostrożności nie widać nawet w Warszawie, prowincya zaś nie wie nietylko o cholerze, lecz i o „epidemii“ i oczyszcza ulice miast t. z. „sposobem lubartowskim,“ tj. za pomocą świń. Wprawdzie dr. Ochorowicz twierdzi, że dosyć nie lękać się cholery, a wszystko będzie dobrze; sądzę jednak, że np. mieszkańcy Łodzi, gdyby nawet dorównywali męztwem spartanom, co więcej, gdyby nawet zgubny duch czasu nie wymyślił jakiejś tam cholery, bez której obywali się nasi ojcowie, to i wtedy umieraliby nie „w proporcyi przepisanej prawem“ — jak wyraża się pewien statystyk, ale bez żadnego względu na normę śmiertelności. Przemysłowa i cywilizowana Łódź nie wiele się różni od najbrudniejszych i najbardziej wonnych miast wschodnich. Oto, co pisze reporter miejscowego *Dziennika*: „Przez plac przy ulicy Konstantynowskiej płyną wszelkie odchody z domów i dziedzińców, położonych przy Nowym Rynku, *obok magistratu.*“ W tyle tego placu jest parkan a pod nim otwór, przez który „cuchnące rynsztoki przepływają i razem z odchodami Hotelu polskiego dostają się na ulicę Zachodnią. Stróż hotelowy zagradza jednak niekiedy otwór, a wówczas zbierają się na placu miejskim bagniska straszliwe, które przez całe lato waporują swobodnie.“

Myślicie, że nad ten brud nie wstrętniejszego przedstawić nie można. Owszem, bardzo łatwo, dość przejść tylko nad tak zwany „staw.“ Jest to wpadlina pełna nawozu, na środku jej znajduje się kałuża, w której mokną i gniją zdechłe psy i koty. Na około „stawu“ w brudnych i cuchnących lepiankach mieszkają setki rodzin. Obrzydzenie bierze przy czytaniu tych szczegółów, nie będę ich więc powtarzał, zgadzam się tylko, że to jest—„ideał niechlujstwa.“ Po ulicach miasta płyną różnokolorowe strumienie, które wypuszczają ze swych farbiarni miejscowi przemysłowcy. Dowcipny kronikarz radzi studyować w rynsztokach „tajemnice przemysłu łódzkiego,“ fabrykanci bowiem trzymają w sekrecie barwę przygotowywanych tkanin. Gdyby chociaż obawa zdradzenia się mogła ich powstrzymać i do porządku skłonić.

W takich straszliwych warunkach sanitarnych żyje 150 tysięczna ludność, przeznaczona na ofiarę pierwszej lepszej epidemii, której podoba się zawitać do Łodzi i rozgościć się tam na dłuższy przeciąg czasu. Doprawdy, niewiadomo, co bardziej winić: czy karygodne niedbalstwo władz miejskich, czy dziwną obojętność mieszkańców. A może... może to po prostu „wyzysk żydowski!“

Dla czegóżby nie, jeżeli wystawa radomska zasłużyła na to miano od pewnego publicysty, który rozejrzawszy się lepiej w swojem drzewie genealogicznem, przyszedł do wniosku, że wszędzie musi być żyd, nawet tam, gdzie go nikt nie spodziewa się znaleźć. Równie niezadowoleni z wystawy są i wieśniacy radomscy, którzy odwiedzali ją dosyć licznie, ponieważ sądzili, że zobaczą tam olbrzymią pchłę morską, wypijającą co dzień na śniadanie garniec krwi utoczonej z dziecka żydowskiego.

„Być impresaryem takiego potworu, może to korzystniejszy i skuteczniejszy geszeft niż redagowanie *Roli*, ile że taka rola dla ekonomistów ze szkoły... Popolanich *) o wiele byłaby odpowiedniejszą“ — powiada organ miejscowy i dodaje potem: „O kiedyż nareszcie lud nasz przestanie wierzyć w krwiożercze pchły morskie i rozum panów Jeleńskich.“

Zawiele wagi położonej na drugim zwłaszcza punkcie, bo w ten rozum nie wierzy nikt, nawet sam właściciel głowy, w której powinien się on mieścić.

Lękam się cytować dalej *Gazetę radomską*, bo pochwalenie jej, narobiło już *Prawdzie* nieprzyjaciół w Lublinie i Płocku. *Gazeta lubelska*, która przed paru tygodniami jeszcze chętnie zapełniała puste swe szpalty przedrukami treści każdego numeru *Prawdy*, rozgniewała się teraz i zgromiła p. A. J. Cohna „literata żydowskiego“ za jego artykuł o dziejach kapłaństwa (streszczenie znanego dzieła Lipperta) „pełen kłamstw (?) i cynizmu (?), pomieszczony rozumie się w *Prawdzie.*“ Nie mogę tego wytłomaczyć inaczej jak wybrykiem złego humoru, bo pismo lubelskie bywa od czasu do czasu wolnomyślnem, pamiętam np., że chwaliło bardziej radykalne artykuły p. J. W. Dawida, dla literatów zaś „żydowskich“ jest nawet zanadto względnem. Bo oto, chociażby jakiś p. J. Goldszmidt-Złotnicki pisze przyjacielską reklamę dla rymarza, „rozumie się w *Gazecie lubelskiej*,“ a jednak surowy dla pisarzy-semitów organ pozwala mu na to.

Korespondent płocki znowu obraził się bezpośrednio za wzmiankę o banialukach niejakiego p. A. D., nazwał uwagę *Prawdy* „burdą karczemną,“ i nadęty jak ropucha bryznął śliną, pragnąc gburowatością wyrażenia zastąpić brak racyi. Gdy takie błoto spada nam pod nogi, nie podnosimy go, tylko dla informacyi czytelników naszych zaznaczamy, że dziwaczny artykuł p. A. D. wyjść mógł jedynie z pod pióra maniaka lub człowieka z nieuporządkowanym umysłem. Pomieszczenie go przypisywaliśmy niedbalstwu redakcyi — wobec wystąpienia *Korespondenta*, widzieć musimy w tym wypadku złą wiarę albo raczej spekulacyę dla widoków osobistych, narażającą na śmieszność człowieka, którego dziwactwo zasługiwać może tylko na litość lub na pobłażanie.

*) Popolani nadworny chemik króla Bobesza w operetce *Sinobrody*, awansowany niegdyś przez p. Jeleńskiego na autora-ekonomistę europejskiej sławy.“ (Przypisek wzięty z *Gazety radomskiej*.)

Wystawa przemysłowo-rolnicza ma tę niezaprzeczoną zasługę, że ułatwia ziemianom zgromadzenie się i porozumienie w wielu sprawach, posiadających ogólniejsze znaczenie. Tegoroczna, oprócz pouczających konferencyj, zrodziła projekty dwóch spółek. Jedna z nich — mleczarska proponuje zorganizowanie przemysłu nabiałowego. Szkoda tylko, że zgodnie z ogólnym charakterem naszej produkcyi przedsiębiorstwo nosić będzie wybitnie kapitalistyczny charakter. Ma to być spółka złożona z właścicieli wielkich, którzy zbiorowemi siłami wyrabiać będą sery i masło. Tymczasem bardziej pożądanem byłoby założenie takiej fabryki, któraby przerabiała również mleko dostarczane przez okolicznych włościan. Tego rodzaju spółki istnieją właśnie w Szwajcaryi, na której przykład powołują się inicyatorzy, i tą samą drogą idą inne kraje, które naśladować szwajcarów pragną.

Spółka gorzelnicza ma na celu podniesienie tej gałęzi przemysłu rolnego, obciążonej podwyższoną znowu akcyzą i wysilonej współzawodnictwem z produktem przemycanym. Właściciele gorzelni wyrzekają się walki na własnym gruncie i pragną wywozić spirytus zagranicę, ale wprzód należy go przygotować odpowiednio do wymagań obcych konsumentów, tj. podnieść tęgość i lepiej oczyścić. Obie te operacye dadzą się dokonać tylko zbiorowemi siłami i do tego zakresu ograniczona spółka gorzelnicza posiada zupełną racyę bytu; nie idzie jednak zatem, żeby nie mogła działalności swojej urozmaicić i rozszerzyć. Ale nie ulega wątpliwości, że okowita krajowa musi się wyrzec konkurencyi ze szwarcówką, która napływa coraz obficiej pomimo ciągłego pomnażania składu liczebnego i nazw wszelakiej straży. O działalności tej ostatniej podaje taki fakt w *Korespondencie płockim* jakiś obywatel z Rypina. Do „znanego“ przemytnika przyjeżdża dwóch strażników, w najlepszym zamiarze wykrycia kontrabandy. Szwarcownik, jakkolwiek „łyknął“ już cywilizacyi europejskiej (pruskiej), zachowuje jednak starodawny obyczaj gościnności i częstuje przybyłych, jak Bóg przykazał, chlebem, solą i wódeczką, naturalnie, przemycaną. Pobratymcze natury strażników rozrzewnia ten dowód gościnności słowiańskiej — piją więc w dobrej zgodzie z gospodarzem, powtórzenie rozczula ich jeszcze więcej; w ten sposób bawią się przez 48 godzin i odjeżdżają, nic znalazłszy kontrabandy, bo ją wypili. Nic dziwnego, że kiedy „odnośne organa,“ jak mówią *Kuryery*, szczepią gorliwie ideę wzajemności słowiańskiej, przez granicę przechodzą tymczasem bandy szwarcowników złożone nieraz z 80 ludzi. W takim stanie rzeczy łatwo mówić o współzawodnictwie z kontrabandą, ale trudno bardzo nierówną walkę wytrzymać.

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 2 lipca.

Nareszcie nowy gabinet angielski uważać można za utrwalony na czas jakiś. Ponieważ jednak ministeryum nie posiada

pewnej większości w izbie, więc aż do nowych wyborów w listopadzie żadne zmiany nie zajdą w polityce wewnętrznej a w zewnętrznej bardzo nieznaczne. Układy z Rosyą toczą się dawną koleją, zachowawcy może nawet skłonniejsi są do ustępstw, twierdzą bowiem, że nie przez umowy należy bronić Indyi. W Egipcie tylko polityka angielska przybiera znowu energiczny charakter. Wojskom powracającym z Sudanu rozkazano powrócić na dawne stanowiska, w razie potrzeby wysłane będą posiłki, a niektóre gazety pozostające w stosunkach z gabinetem przebąkują już o anneksyi Egiptu.

Powstanie w Kanadzie stłumiono. Metysi i indyanie składają broń dobrowolnie, ci zaś, którzy nie dowierzają amnestyi przechodzą tłumnie na terytoryum Stanów Zjednoczonych.

Ogłoszona została umowa Anglii z Niemcami o wzajemnem rozgraniczeniu posiadłości obu państw w Afryce i Australii, na zasadzie jej Kamerun, dostanie się niemcom.

We Francyi wszystkie partye przygotowują się energicznie do przyszłych wyborów, a w tych działaniach przedwstępnych jak również w rozprawach Izby coraz widoczniej zarysowuje się rozbrat między radykalnymi i umiarkowanymi republikanami. Ci ostatni nie tworzą także jednolitej partyi, bo nawet w „unii republikańskiej" przy układaniu programu powstały rozterki. Chodzi tu o stosunek kościoła do państwa, kiedy jedni chcą zupełnego rozdziału, inni ze względów praktycznych pragną opierać się na konkordacie i żądają tylko ścisłego wykonywania jego warunków. Różnią się także mocno zdania w kwestyi polityki kolonialnej, chociaż największej zwolenników posiada twierdzenie, że trzeba ostatnie nabytki utrzymać ale nie wikłać się w nowe awantury.

Ta prosta na pozór polityka nie jest jednak w rzeczywistości łatwą do przeprowadzenia. W Tonkinie np. powtarza się stara historya. Traktat zawarty, załogi chińskie ustępują, ale posterunki opuszczone zajmują powstańcy, „czarne flagi," z któremi francuzi stoczyć będą musieli niejedną jeszcze walkę. Przygotowuje się również wyprawa do Madagaskaru, co prawda, możnaby tam z łatwością zawrzeć pokój, ale nie pozwala na to... „honor" Rzeczypospolitej.

Tunis przekształca się powoli na kolonię francuską. Władza ministra-rezydenta została znacznie rozszerzoną, ulegać mu powinni nawet dowódcy wojsk.

Depretis stanął na czele nowego albo raczej odnowionego gabinetu włoskiego. W ostatniem przesileniu ministeryalnem nie chodziło wcale o zasady, ale o ludzi. Polityka afrykańska Manciniego zrobiła fiasco — trzeba więc było usunąć jej inicyatora. Nowy minister spraw zewnętrznych będzie miał trudne zadanie, w obecnych stosunkach zachcianki włoskie w Abisynii i Sudanie nie mają widoków urzeczywistnienia, a znowu z próżnemi rękami cofać się nie wypada.

Wkrótce już ostatecznie rozstrzygnie Rada związkowa niemiecka sprawę następstwa tronu brunświckiego, rozstrzygnie, rozumie się, w sposób pożądany dla Prus. Opozycya udzielnych książąt niemieckich słabnie. Bawarya zmieniła już swoje zdanie, teraz zmienia je Saksonia. Czy w Brunświku panować będzie z ramienia pruskiego książę Reuss, czy też kraj ten włączony będzie do Cesarstwa jako *Reichsland* — to już wszystko jedno. Dla załatwienia tej sprawy Bismark wraca z Kissingen do Berlina.

Cesarz Wilhelm bawi obecnie w Ems, po przyjeździe zaniemógł znowu, teraz niebezpieczeństwo przeszło, ale zdrowie jego budzi poważne obawy.

Lewica austryacka nie może jakoś zorganizować się. Na ostatniem zebraniu, w którem przyjęło udział około 100 posłów, nie powzięto stanowczej decyzyi. W jednym tylko punkcie zgadzali się wszyscy, że należy złamać wpływ słowiański a zwłaszcza polski. Prawdopodobnie utworzą się dwa kluby: liberalno-wierno - konstytucyjny i narodowo - niemiecki.

Berno. Wybuchły tu znowu rozruchy, ale teraz noszą już charakter narodowościowy. Na ulicach i w miejscach publicznych czesi bili się z niemcami.

Frankfurt. Sąd przysięgłych skazał Lieskego, zabójcę Rumpffa na śmierć.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Na pogorzelców. Pod tym tytułem wyjdzie staraniem księgarni Paprockiego wydawnictwo zbiorowe, dochód z którego przeznacza się dla mieszkańców Grodna.

Pomoc. Na rzecz pogorzelców grodzieńskich odbędzie się we Lwowie wielka zabawa ogrodowa. W Krakowie na ten sam cel miał odczyt p. S. Buszczyński.

Kara za tajemne nauczanie będzie obostrzoną.

Filia komory celnej warszawskiej otwarta będzie przy dworcu kolei nadwiślańskiej.

Trzechsetne przedstawienie Halki wypadło nie bardzo świetnie, rodzina Moniuszki otrzymała połowę dochodu brutto—400 rs.

Kara śmierci. Zabójca policyanta Feslenki Lebiedinskij, a właściwie Saul Lisiański, skazany został przez sąd wojenny charkowski na powieszenie. Wyrok wykonano w d. 23 czerwca.

Dochód z podatku od papierów procentowych wynosić będzie przeszło 9 milionów rubli. Przy obliczaniu opłaty wynikła trudność nie lada, ponieważ w obiegu niema monety groszowej, kiedy tymczasem większość kuponów jest na 2 rs. 50, 12 rs. 50—lub 6 rs. 25 kop. itp., podatek więc od nich wynosić powinien $12^1/_2$, $62^1/_2$ i $31^1/_4$ kopiejki. Jeżeli w kasach doliczać będą ułamki kopiejkowe na rzecz skarbu, to dochód zwiększyć się może najmniej o kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Rektorem uniwersytetu lwowskiego został profesor matematyki W. Żmurko.

Praca nocna. Wyszło rozporządzenie zabraniające sposobem próby na lat trzy używania małoletnich i kobiet do robót nocnych w fabrykach wyrobów bawełnianych, płóciennych i wełnianych. Według uznania ministrów skarbu i spraw wewnętrznych, zakaz ten może objąć inne także kategorye zakładów przemysłowych. W ciągu trzech lat wypracowanem będzie prawo o pracy dzieci i kobiet.

Nowy dług. Minister skarbu polecił Bankowi państwa wypuścić seryę XIII obligacyj krótkoterminowych na sumę 25 milionów rubli.

Instytut w Nowej Aleksandryi liczył w r. 1884/5 201 studentów, z których nieco więcej niż połowa polaków. Z królestwa było tylko 25% studentów. Ukończyło kurs na wydziale agronomicznym 22, leśnym 11.

Śmiały estetyk. Recenzent *Nowego Wremieni* pisząc o występach baletniczki Zucci, wyraża się, że w *plecach* jej więcej jest poezyi, aniżeli w utworach wieszczów współczesnych, razem wziętych. Jak dla kogo.

Dzieło Brandesa — *Berlin als deutsche Reichshauptstadt* wychodzić zaczęło zeszytami, których będzie 12.

Polnische Stimmen. Pierwsza broszura tego zbioru, zatytułowana *Ausrotten*, zawiera głosy pracy polskiej przeciwko znanemu wystąpieniu Hartmanna, a mianowicie:

I. „Der Rückgang des Deutschthums" von K. v. Jarochowski. II. „Ausrotten" von Dr. A. Świętochowski. III. „v. Hartmann und die Nationalitätenfrage" von P. Marian Morawski S. J. IV. Aus der Wochenschrift *Kraj* V. Aus der Wochenschrift *Prawda* von Dr. J. Karłowicz. VI. Aus der Wochenschrift *Tygodnik illustrowany* von St. M. Rz. VII. Aus der Wochenschrift *Kłosy*.

Wielki Atlas zoologii, botaniki i mineralogii dr. G. Haycka zaczął wychodzić w przekładzie polskim dr. J. Baranowskiego, a nakładem H. Olawskiego. Dotąd wyszedł zeszyt. O cennem tem wydawnictwie pomówimy szczegółowiej.

Dobre serce. Z powodu wielkich upałów zarząd tramwajów zmniejszył kursa dla koni, ale o ludziach zapomniał.

Zmarli. Józef Rychter, artysta dramatyczny.
— Bogusław Łubieński, członek sejmu pruskiego.

OFIARY.

Na pogorzelców Grodna. S. Raciborski z Jelowki, kop. 60, Dr. Antoszewski z Antonowa rs. 3, Dr. Mączewski z Góry Kalwaryi kop. 50, Z. H. z Koroczy kop. 50, Sosonko z Kozłowa rs. 3.

Do uznania Redakcyi. J. Z. rs. 5, Zebrane w Kijowie rs. 16, B. B. rs. 10, K. Ciecierski z Pszenicznik rs. 50.

Dla studentek w Petersburgu. Xy z Płocka rs. 1 kop. 40.

Dla studentów. C. z Ku. rs. 3, Czapski ze Żmijewa rs. 1.

Na wpis dla uczniów. Dr. Sulicki ze Starokonstantynowa rs. 3, Zebrane z Ekat. rs. 7, A. Chmara z Mińska gub. rs. 5.

Wobec strasznej klęski, jaka nawiedziła Grodno i wobec braku wszelkiej potrzeby wspierania zeszłorocznych powodzian, przysłane nam z tem przeznaczeniem składki w ostatnich tygodniach, dołączyliśmy do ofiar dla pogorzelców grodzieńskich.

Ogłoszenia.

Z winy drukarni wyjście dzieła d-ra Piotra Chmielowskiego p. t. **Autorki Polskie XIX w.** uległo spóźnieniu; za zwłokę tę od nas niezależną, która, jak mniemamy, potrwa już niedługo, przepraszamy Szanownych abonentów.

Spółka Nakładowa.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Іюня 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.